



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. 5 marek

FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

(Dalszy ciąg).

Goethe utrzymywał, że nie posiada w sobie nic wyłącznie własnego—nie oryginalnego, i wyliczał, co prawem dziedziczości wziął po ojcu, co dostało mu się po matce a nawet po babce i dziadku. Niecks, takimi też względami się rządząc, życie Szopena pisze i po szkicu historycznym daje obraz rodziny, otoczenia, które przedstawia mu się nietylko uczciwie zacnem, ale niepospolitem przez stosunki rodziców z ludźmi wyższej nauki, wyższych umysłów.

Czerpiąc tu szczegóły z Karassowskiego, jest on dobrze poinformowanym. Ojciec, niegdyś nauczyciel w domu hr. Skarbka w Żelazowej Woli pod Sochaczewem, o siedmiu mil od Warszawy, gdzie w 1809 r. urodził mu się syn jedynak między trzema córkami, był następnie professorem języka francuzkiego w Lyceum Warszawskiem i zostawał w stosunkach przyjaznej zażyłości z uczonymi, z literatami — wogóle z tym światem myśli i uczuć wyższych, który reprezentował wtedy rozbudzenie umysłów. Ale do obrazu matki, Justyny z Krzyżanowskich, brakuje Niecksowi rysów wybitnych i troszczy się ono to wielce, czyni poszukiwania pracowite. Sand wiedziała od syna, że kochał on ją miłością najwyższą, jaką młode serce jego uczuć mogło; Karassowski pisze, że była bardzo uczuciową, bardzo tkliwą i „we wszystkie cnoty niewieście bogatą”; Niecks przecież czyta jeszcze „Cmętarz Powązkowski” Wojcieckiego, aż listy samego Szopena, pisywane

do matki i o matce, przekonywają go nareszcie, że była to kobieta wyższych zalet umysłu i serca. której wpływ na syna był, silnie oddziaływającym

W tensam sposób biograf ten sumienny bada i rozbiera wszystkie stosunki młodych lat Szopena. Chce poznać tak jego nauczycieli, jak przyjaciół i bliższych znajomych domu, a jest tu obok wielu innych hr. Skarbek, Linde, jest Brodziński, malarz Brodowski, Juliusz Kolberg i galerya to w wyższe postacie ówczesnego warszawskiego towarzystwa bogata, wykazująca, że pierwsza młodość Szopena upływała wśród wyborowego, wśród najszlachetniejszego otoczenia danej chwili, którą pod wielu względami można nazwać naszą epoką renessansu.

W 1827 r. ośmnastoletni już kończy Szopen liceum, a zmęczony przygotowaniem się do egzaminu, bo muzyka zaczynała już coraz silniej porywać go, kraść mu czas, wyjechał na wieś dla odpoczynku, dla odświeżenia organizmu i zetknął się po raz pierwszy z melodyą pieśni ludowej, która uderzyła nań odrazu siłą oroków swoich, jak „ta czarownica, co serca porywa i dusze zachwyca”. Niecks odnajduje w listach z tej epoki, że wrażenie było silne i jakoby przebudziło w duszy przyszłego mistrza złożone tam zasoby poezji rodzimej.—Kto tworzył wszystkie te mazury, krakowiaki tak rażne, tak ohoce, a obok tego odzywające się nagle tęskną, śpiewną nutę? Kto uczył lud wiejski tak je grać na fujarkach, ligawkach, skrzypkach swoich? Tensam duch, który mieszkał w nim, a który teraz drgnął rozbudzony i zaśpiewał w piersi jego do chóru — duch rodzimej poezji. Szopen, powróciwszy do Warszawy z nowymi motywami, z tem, co wziął sobie w duszę z nieba i ziemi, z przyrody—z jej szmerów, szeptów, z głosu jej pól, lasów, z pieśni ludu, który w najbliższym związku z tą przyrodą zostając, bierze od niej wprost i najdoskonalej kolor i dźwięk śpiewnych swych

tonów, przynosząc talentowi swemu w pomoc to, co ogrzewało jego artyzm ciepłem serdecznem. Wzmogła się też w nim siła twórcza, — która przecież pozostanie zawsze w artyście czemś oderwanem i jakoby obcem, słabo oddziaływającym na ludzi, jeżeli uczucie, które jest spójnią, łączącą jednego ze wszystkimi, a wszystkich z jednym, nie przyjdzie tu uczynić się łącznikiem. Bez tego jest on bezwładny, bo bezwplywowy, i musi tak być, bo ta mądrość, rządząca wszechświatem, która nam się ukazuje jako celowość w naturze, żąda tego od sztuki. Inaczej kłamie ona temu głosowi, który mówi: — Dałem ci moc nad sercami ludzi..

Sztuka dla sztuki jest czemś niezrozumiałem, bo musi ona być z konieczności nieuniknionej dla piękna, a piękno prawdziwe, będąc ucieleśnieniem ideału, który nam przed oczy stawia, już przez to samo dopina celu bardzo wysokiego, bo każe nam odwracać się od tego co jest brzydkie, bezkształtne, więc harmonii, ładu pozbawione. Oleszczyński, rzeźbiarz nasz z tej samej epoki, co Szopen, mówił, że największe nawet rozdrażnienie uczuć, wzburzenie myśli uspakajał zawsze, jeżeli będąc w Rzymie mógł w takich razach iść i patrzeć na *Mojżesza* Michała Anioła, na jego *Piete*.

Szopen, po powrocie swoim do Warszawy, uczuł silny poryw twórczości i wtedy to stworzył polonez: D-moll, Notturmo E-moll, polonez B-dur, sonatę Op. 4 i kilka jeszcze utworów, które dopiero po jego śmierci zostały wydane w Paryżu, przez przyjaciela jego od dzieciństwa, Juliusza Fontanę. Są jeszcze i inne jego utwory z tego czasu, wobec których areopag muzyczny Warszawy uznał, że nie ma on już czego tu się uczyć, że należy mu jechać zagranicę, aby dobrą, wyższą muzykę mógł usłyszeć. Pierwszą podróżą był dwutygodniowy pobyt w Berlinie. Jechał tam prof. zoologii Jarocki, a że był to przyjaciel domu, zaproponował rodzicom, aby pu-

ścili tam z nim syna. Działo się to już w 1828 r., był to już więc młodzieniec dorosły, jechał przecież, że nie żeby wystąpić — dać się słyszeć, ale żeby usłyszeć. Głównie pragnął poznać wykonanie opery Spontini'ego, „Ferdinand Cortez“, usłyszeć „Freischütza“. Choć umysł jego nie leżał odłogiem, choć należał on do ludzi wyżej wykształconych, w Berlinie nie chciał nic zwiedzać, żadnych zbiorów naukowych, żadnych zakładów, tak, jak nie chciał użyć żadnej zabawy, choć pobyt tam księcia Radziwiłła tak mu to ułatwiał, że drzwi wszystkich salonów stały przed nim otwarte. On nie chciał tu nic innego kosztować, niczego się uczyć, prócz muzyki.

Było to przecież tylko umieszczenie namiętne wobec Opery, wobec arcydzieł muzyki, które go pochłaniały, zabierały sobie w całości, bo Szopen, jak świadczy Karassowski i Niecks na zasadzie krytycznego rzeczy rozbioru uznaje, nie może być zaliczony do rzędu tych natur jednostronnych, przez które natchnienie jak przez pozytywkę przepływa i dźwięk wydaje, nie rozbudząc ducha, nie wzruszając myśli. Umysł Szopena był oświecony, inteligencya niepospolita, ale tu nie przybywał on po naukę akademicką, a widać też jak silnie Niemców i wszystkiego, co niemieckie nie lubi. Oczy jego widzą tu świat w karykaturze, bawi się dowcipem ich odtwarzaniem i pisze wesoło: „Liczba moich rysunków codziennie się powiększa, zbiór będzie też nie mały.“ Obok smaku artystycznego, który był w nim wysoko rozwinięty, że jednak umiał tu oddać hołd temu, co na hołd zasługuje dowodzi wspomnienie o Humbolcie, z którym się tu spotkał. O ile sztydł z innych uczonych, profesorów, o tyle tu opisuje w liście do matki z uszanowaniem jak znakomity mąż ten wygląda, pisze, że czoło jego i oczy zwiastują już jakim jest duch. Smak niemiecki jest mu za to we wszystkim wstrętny, razi go tu wszystko, aż do ubioru kobiet, i pisze, że szkoda tych kosztownych materyj, w które się stroją, a dodać trzeba, że przez stosunki księcia Radziwiłła znalazł on tu dostęp do sfer towarzystwa najwyższych.

W drodze powrotnej zatrzymano się w Poznaniu tylko dni trzy, bo Szopen spieszył się bardzo do domu i, porzuciwszy od Poznania dyliżans, jechano już extra-pocztą, przeczem raz zdarzyło się wśród nudów podróży wesołe i niewątpliwie miłe młodemu wirtuozowi intermezzo. Na jednej stacyi trzeba było długo czekać na konie, i Szopen, zwiedziwszy miasteczko, w którym nie było nic szczególnego do oglądania, otworzył z nudów drzwi prywatnego pomieszkania pocztmistrza i ujrzał tam w bawialnym pokoju fortepian, do którego siadł jakgdyby przyciągnięty magnesem i grać zaczął, aż naraz spostrzegł, że ma liczne grono słuchaczy, cichutko poza nim stojących. Pocztmistrz, jego żona, córki, podróżni, tak też, jak on, na konie czekający — wszystko to w tyle poza za nim u drzwi stało, słuchając.

Gdy wreszcie zjawił się pocztylion, oznajmujący, że konie już zaprzężone i Szopen od fortepianu się porwał, puścić go nie chciano, i stało się z nim, jak z czarownikiem, którego wywołane przez zaklęcie jego moce puścić potem nie chciały. Kobietom, zwłaszcza ładnym córkom pocztmistrza, odmówić nie śmiał, może też sam był rozfantazyowany, więc znów ręce do klawiszy przyłożył i grał, grał, aż dopóki nie przyszło zmęczenie.

Gdy nakoniec od fortepianu powstał, wniesiono tace z winem i kieliszkami, zdrowie jego pito, a gdy dziękował, ktoś z przytomnych powiedział, że wtedy tylko śmiałyby mu rękę uściskać, gdyby był Mozartem. Szopen raz też jeszcze do fortepianu siadł, na odjazdne mazurka zagrał, a potem pocztmistrz w ramiona go pochwylił i na rękach zaniósł do bryczki pocztowej, gdzie kobiety koszy pełen owoców i przysmaków różnych już umieściły.

Szopen nigdy tej szczerzej owacy, tych w uwielbieniu swem dla sztuki serdecznych ludzi nie zapomniał, a Niecks pyta czytelnika: czy przypadkiem nie będzie uważał mu za rzecz niewłaściwą mieszczanie takich drobnych zdarzeń w życiory-

sie wielkiego sztukmistrza? Sądzi on przecież, że są to kolory, które należy kontury nakładać, aby obraz wyszedł tak barwnie, jak przedstawiało go życie, i dodaje jeszcze jedno zdarzenie takiego zapomnienia się Szopena, takiej jego niepamięci na czas i ludzi, gdy ręce do klawiszy przyłożywszy, tonął w falach melodyi.

Gdy raz w wizytowskim kościele grał pod czas summy na organach, improwizując na temat mszy śpiewanej przez kapłana, tak dał się unieść przedmiotowi, że zapominając o miejscu i czasie grał — grał jeszcze, choć ksiądz zakończenie nabożeństwa dwukrotnie wygłosił, i aż ktoś musiał go ostrzedz, że to już koniec.

Obfitość siły twórczej była w nim tak wielką zaraz o tej pierwszej dobie jej rozkwitu, że czuł do siebie żal, jeżeli codziennie czegoś nie stworzył i na wzór Tytusa uważał dni takie za stracone dla życia. Lecz czyhała teraz na niego hydra, która już niejeden wielki talent o zaraniu jego pożarła: świat modny, z jednej strony wrażeń chciwy i coraz-to nowej zabawy szukający, z drugiej pozujący na miłośnictwo sztuki, aby okazać też jakiś interes dla rzeczy wyższych. Szopen nie dał się połknąć, lecz skarży się ciężko w liście do przyjaciela, (Wojciechowskiego) i pisze: „Wodzony tu jestem od Annasza do Kajfasza“.

Teraz przecież miał już swój własny pokój, który w tym samym liście przyjacielowi opisuje. Wprost z sieni wiodły do niego wschody oddzielne i snadź mógł tu już kosztować upragnionego dla takich, jak on natury spokoju — niezakłóconego przez nic czasu, którym wolno mu było rozrządzać, dać się unieść natchnieniu. Mógł tworzyć, gdy zstąpiło nań, a potem w gronie takiej, jak on, szlachetnej młodzie, mógł czuć i myśleć głośno i we dwa lata potem, już przebywając w Wiedniu, ucieka na skrzydłach wspomnienia między te cztery ściany rodzicielskiego domu, i pisze do Jana Matuszynskiego: „Kiedy się moi i twoi dawni kolledzy, naprzykład Rostkowski, Szuch, Freyer, Kijewski, Hube, na wesołą pogadankę w moim pokoju zjeżdżacie, znajdę się tam zaraz wpośrodku i dowcipkować, śmiać się z wami będę...“

Obok natury w tworzeniu artystycznym tak melancholijnie marzycielskiej, że mógł być wołać: „Miłość i tęsknota, to dwa bieguny mojego żywota“... w życiu, zwłaszcza za lat młodych, posiada on niewyczerpany zasób wesołej towarzyskości i tej przyjaznej skłonności do ludzi, która każe mu bratać się z nimi i z serc ich ciepła coś sobie na ogrzanie duszy biorąc, własnej piersi ciepłem z niemi się dzielić. Młodość taka jest najpiękniejszą, najszcześniejszą, najlepszą i on ją miał — początek życia podobny do poranka pogodnego dnia wiosny. Z czasem przybył do tego koła Dominik Magnuszewski, Stefan Witwicki, poeci, i grono to całe miało taką to młodość na której skrzydłach wylatała się nad poziomy.

(Dokończenie nastąpi.)

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg.)

Trza nam iść, doniu, zaraz, zaraz, póki ciepło.

— Kiedyż, maty?

— A ot, dzisiejszej nocy. Weźmiemy „łatoszki“ najstarsze, trzewików nie rusz, trochę chleba, — i pójdziemy! Ino nie waż się nikomu nic rzec — pamiętaj!

— Nie powiem, maty! — łkając, odszepnęła Olenia, a po chwili spytała:

— Maty, to i paciorki trza im porzucić?

— A któż ci je dał?

— Karpina onegdaj.

— To zdejmij, taj zostaw na stole.

— Dobrze, maty!

Placz rozrywał jej piersi, ale nie pojmowała nieposłuszeństwa, wychowana wśród Huców. Prytulanka już się opanowała. Nie czuła w swem sercu żadnego żalu do Huców, ani do ludzi, co ją ogadali, zniosłaby wszystko, gdyby nie córka.

Tyle lat nędzna była, bita, bez dachu i chleba, że ją nie przestraszało to jutro i włóczęga. Szkoda jej tylko było krów, wieprzy, cieląt, tego dobytku, który pohodowała i szkoda znajomego dworu i dobrej panil...

Wróciły do zagrody i, jakby nic, spełniały codzienne obowiązki.

Wreszcie noc nadeszła i sen wszystkich utulił. Prytulanka ubrała siebie i córkę w najgorszą odzież, ukroiła z bochna dwie skiby chleba, fartuchem opieła głowę i wyszła.

— Maty — szepnęła drżąca Olenia — poczekajcie mnie przy wrotach, paciorki odniosę. Wróciła znowu do chaty. W izbie pod oknem Karpina sypiał. Dziewczyna zawahała się chwilę z paciorkami w rękę, wreszcie przystąpiła do niego i traciła go w ramię.

Przywykły do wart różnych, przecknął się natchmiast.

— Kto tam? — zawołał.

— Cyt', cyt', to ja! — szeptała dziewczyna, ręką zatulając mu usta i pochylając się do jego ucha, poczęła szeptać prędko: — Ja tobie paciorki odniosła. Już drugiej daj teraz! Bacz, i ja dla ciebie chciała nożyk na jarmarku kupić, zebrała dwa złote, to i to weź i sam sobie kup! Taj zdrów bądź i szczęśliwy, mój sokoliku jasny, Dobry ty był, ale doła zła!

Karpina, zrazu rozespany i mało przytomny, na ławie siadł.

— Co ty pleciesz! Duru się objadłaś, czy jaki dyabel! — rzekł, nie jeszcze nie rozumiejąc. — Trzymaj swoje paciorki. Nie odbieram przecie. Przystąpiło co do ciebie. Idź spać!

Dziewczyna położyła mu na kolanach jego i swój dar.

— Pójdę już, pójdę! — szeptała, łkając. Oczy moje ciebie nie zobaczą, tylko zapłaczą po tobie, nie raz, nie dwa, bo dobry ty był, aż dotąd! Ostańcie zdrowi!

Zawróciła się, skrzyknęły drzwi jedne, potem drugie. Parobek siedział wciąż jeszcze, ze snem i zmęczeniem walcząc. Wreszcie, gdy i wrota na ulicę skrzyknęły, coś go poderwało z miejsca.

Wstał — rozsypały się mu z kolan pieniądze i szklane, czerwone perełki, a na ten brzęk zbudził się i Kornilo.

— Kto tam? — spytał.

— To ja bał'ku.

— Czego łazisz?

— Czy ja wiem! Śniło się źle, czy naprawdę. — Mrucząc, zapalił lampkę — wyszedł do sieni, gdzie za przepierzeniem mieszkała Prytulanka.

Nikt tam nie spał teraz.

Wrócił do izby. Rozbudzili się wszyscy.

— Czego łazisz? — pytano zewsząd.

— Boh me, coś się stało! Niéma ciotki!

— Jakto niéma? A Olenia?

— I jej niéma.

— Nie może być! Porwali się wszyscy. Zaczęto wołać i szukać — pobięł Karpina aż w koniec wsi, ale wrócił, bo noc jak piekło była czarna.

Zaświecili ogień i sen ich nie brał. Wzięto parobczaka na spytki.

— Tak i tak! — opowiadał, blady i jakając się: — Wieczorem Olenia mi kwity swoje oddała, taj prosiła, żebym za nią jutro do kassy poszedł. Tak często bywało. — Aż tu budzi mnie wśród nocy — taj — zaciął się i krwią nagle oblał, — taj paciorki mi oddała!

— To ty jej paciorki dawał? — spytał ojciec.

— Ale! — nieśmiało się chłopiec przyznał.

— Czuj, ty, błaznie! To ty może jej jaką krzywdę uczynił! Gadaj zaraz! To tego może one uciekły?

— Boże dopomóż — nie! Złego słowa nie dał.
— Nu, to za coś jej gościnnie kupował?

— Ja ją bardzo mocno lubił, już dawno! Ja ją chciał brać! Ona się mnie nie bała. One od języków ludzkich uciekły. Wiedźmą zrobili ciotkę; dojadali co krok!

— Może to być! — zamruczał Kornilo — ale, że my jej nie zastąpili, nie obronili, że od nas poszła, to nam wstyd i hańba! Kobiety podniosły lament, mężczyźni siedzieli ponuro milcząc. Czuli swą winę.

Aż w tem Karpina nagle zajęczał, jakby przez grubą skórę chłopską, dopiero teraz ból go doszedł.

— Oj, ciemna moja godzina! Ta dziewczyna była mnie jak słonko! Kędy się ja obróce, gdzie ja się podziene! Pójdę i ja jej szukać skróś świata!

— Milcz, błaznie! Było gadać wczoraj, jak one płakały z żalu! Teraz roboty patrz i chaty!

Tak ich ranek zastał rozstrojonych i błędnych. Rozpełzli się, szukając śladów, ale nikt zbiegów nie spotkał.

Musiły już być daleko i trudno było je wytropić. Marne to, ciche, szare. Zaszyje się gdzie w zapadły kąt kraju, stanie na służbę na folwarku, związać się będzie, starać, pracować. Nikt ich nie spyta o dzieje i pasport. Tak się w oddali ślady ich rozplyną — jak ślad kamienia w fali.

W Hrywdzie gadano o nich dni kilka, potem wspomniano tylko u Huców. Wspominały kobiety, poczuwszy nadmiar pracy, i stary Kornilo, gdy robotnika rachował. Karpina milczał; stał się tylko opryskliwym i często wieczorami gdzieś się wałęsał.

— Szuka sobie dziewczyny! — mówili bracia. — Aż raz zastał go ojciec w karczmie pijanym do bezpamięci i obił. Chłopiec do nóg padał w pokorze, ale w kilka dni potem znowu się upił.

Zaczęły się tedy peryodycznie ojcowskie egzekucje u Huców. Karpina ogłupiał, osowiał, często z hulany zasypiał nad robotą. Stał nad pochyłością, poktórej człowiek się stacza do upodlenia.

Nie znajdując rady, poszedł stary do pana.

— Niema chłopca, niema! — powtarzał, opowiadawszy rzec całą — łajdak się zrobił, pijak, hultaj! Niech go pan ze służby wypisze — bo ja bił, bił, ano prędko zabije — a on codzień gorszy!

Pan sprawę wziął do serca, bo lubił bardzo chłopaka.

— Dajcie-no mi go tutaj — wieczorem, na rozprawę! — rzekł.

Przyszedł Karpina tak zalekły, że się trząsał, cały i odrazu rymnął panu do nóg.

— Cóż, źle z tobą?

— Niech pan bije, bo ja szelma! — przyznał się. — A potem niech mnie pan wypędzi, bo ja do niczego! Pójdę sobie.

— Nie pójdziesz, ale dasz mi słowo, że wódki do ust nie weźmiesz przez miesiąc.

— Nie zdzierzę, panie.

— Zdzierzysz, bo ja ci za miesiąc odszukam twoją dziewczynę i tę starą! No — przysięgaj. Palce na krzyż złóż!

Złożył je i przysięgł uroczyście!

— No, chłopcze! Uszy do góry! Dziewczyna będzie, wesele będzie okrutne, krowa będzie! Tylko ty się trzymaj. Pamiętaj, że ja ciebie za przyjaciela mam!

Tego wieczora młodzież się zesłała do Huców, jak zwykle bywało co roku „na muzykę“; domowe kobiety jednak nie ruszyły się z miejsc.

— Nic z waszej ochoty — rzekły — nie będzie wam nasz parobek grał. Już my i zapomnieli, kiedy w chacie wieczerał.

A w tem w sieniach rozległ się wesoły głos śpiewając:

Oj znany, znany, kto lubi polkę

Wydeptał ścieżynę — da przez fasolkę.

Karpina wszedł, otrząsnął się z deszczu, czuprynę jasną odrzucił.

— Oj — ile was tutaj, jak gęsi! Do skrzypek to moich w gościnę. Rade skrzypecie gościom. Siernięgę mokrą zrzucił, zapyłone skrzypecie ze

ściany zdjął, na rogu stoła siadł i zmrużywszy oczy — metelęcę zagrał.

Tego wieczora miał ochotę nawet tańczyć stary Kornilo.

I odtąd nie widział nikt Karpiny w karczmie, a w chacie Huców dawna zgoda wróciła. Dotrzymał chłopiec panu przysięgi, dotrzymał mu i pan.

Pieniędzy nie żałował, starań nie żałował, ale odkrył mu Prytulankę czysty przypadek. Coś w parę tygodni zawołał Kornilę z synem do kancelaryi.

— No, Karpina, mam twoją dziewczynę! — wesoło oznajmił.

— Nie może być! — wykrzyknęli obadwa.

— A tak! Przysnam się, że bez wielkiego trudu. Służy Olenia z matką u mojej ciotki — ztąd o mil dwadzieścia.

— Ot, szelmy daleko zadreptały! — zaśmiał się stary Huc.

— Inaczej jak wypadkiem trudno ich było wyszukać, bo nawet w gminie nie znalazłem ich nazwiska. Jestem u ciotki — wychodzę na folwark, kogo widzę? Olenię karmiącą kury. — Co ty tu robisz? — pytam, a ona mi buch do nóg i w płacz!

Nic-em jej nie rzekł; uprosiłem ciotki, żeby ich tam pilnowali i prędko do domu wróciłem.

Weźcież jutro, parę koni i w skok po nie jedźcie.

— Może dziś na noc? — szepnął Karpina.

— Jak sobie chcesz i jak ci ojciec poradzi. Ja ci słowa dotrzymałem: wódkę dam, krowę sobie wybierzesz, a mnie na wesele proś!

Pochylili się mu do kolan, a on ich obu za głowę objął i pocałował.

Karpina związał się jak w ukropie.

Wózek nasmarował i derką przykrył — wór obroku wpakował — a furmana się o drogę do pańskiej ciotki rozpytał — ojcu tchnąć nie dał, tak go napędzał.

Matwiej ojca miejsce tymczasem zajął i pęk kluczy od stodoł i odryn dostał, wraz z tysiącem poleceń. Kobiety włożyły do wozu jedzenie i kożuchy dla zbiegów — i pożegnani błogosławieństwem całej rodziny, wyjechali ojciec z synem w daleką drogę. Ubrani byli odświętnie, weseli, pogoda im służyła, pa-skały ochotnie Karpiny kasztany. Na czwarty dzień pod wieczór stanęli u celu.

Zatrzymali się przy bramie, postawili konie przy wozie i spytali parobków o kuchnię czeladną.

Wprowadzono ich do officyn, do wielkiej izby, gdzie panowała Prytulanka.

Właśnie stała u komina, garnków z wieczeraą doglądając, a Olenia opodał myła miski. Parobcy siedzieli za stołem i gwar panował, jak w ulu.

Olbrzymia, poważna postać Kornili Huca stanęła w progu, a zza niego wychylała się twarz Karpiny, uśmiechniona — uradowana.

— Pochwalony Jezus! pozdrowił stary.

Na ten głos miska wypadła z rąk Oleni, a Prytulanka rozłożyła ramiona i patrzyła na swego dobrodzieja — oniemiała.

— Na wieki! — odpowiedzieli parobcy, a któryś dodał: Wejźcie, cudze ludzie; prosim do ognia i do strawy.

Huce weszli. Kobiety stały jak martwe. Stary ich nie zaczepiał — ani wymawiał, ani prosił — przy tylu ludziach; Karpina, za ojcem, nie odzywał się także.

Zrobiono im miejsce na ławie, zaczęto rozmawiać.

— Zkąd? dobre ludzie!

— Z Hrywdy!

Nazwy takiej nie słyszeli! A daleko?

— Ot — do waszego dworu. Nasz pan tutaj był niedawno, bo oni z waszą panią swojaki.

— Aha! — A jakże tam u was? Dobre zbiory?

— Niczego — tylko omlót nie tegi.

— Tak i u nas! A posieli już tam ludzie?

— Na dniach skończą!

— Dobrą porę na siew dał Bóg! A to wasz chłopiec?

— Mój, jeszcze takich trzech jest — ten najmniejszy.

— To wy do pani?

— Nie, — za swoją sprawą!

Karpina tymczasem wciąż na Olenię zerkał i uśmiechał się. Dziewczynie leciało wszystko z rąk.

— Gospodni, Tekla — dawajcie wieczere! — dopominali się parobcy.

Kornilo dopiero teraz się dowiedział, że Prytulanka jego miała jakieś inne imię.

Baba była jakby nieprzytomna. Coś ją ciągnęło do Huców, witać, pytać, płakać, a jakiś niewytłómaczony lęk, czy srom, wstrzymywał.

Zawołała dziewczynę do sieni.

— Czego oni przyjechali, doniu?

— Po nas, maty!

— Nie wiem! Nic nie mówią! Może tak sobie, przypadkiem!

— Oj, maty, po nas! upierała się dziewczyna, a głos jej się śmiał, i płakał, i śpiewał.

— Gospodyn! — jaki dyabeł? Nie dacie jeść? krzyczano z izby.

Skoczyła Prytulanka do komina, poczęła jadać lać w misy; Olenia stawiała je na długim stole. Zaczęto pożywać łapczywie, zapomniawszy o podróznym.

Stary Huc kobałkę z pleców zdjął, dobył chleba, kielbasy i sera.

— Jedz! — rzekł do syna.

Ale Karpina zwlekał. Patrzył na Olenię, jakby czekając na coś.

Ona swoją część z garnka ułała na polewaną misę, ze swego bochenka ukroiła dwa zrazy chleba — i, trzymając dwie łyżki w ręku, stała zasromana, zalekła, nie mogąc się zebrać na odwagę jedzenia, czy podania.

Aż trafili na siebie oczami. Dziewczyna porwała misę, postawiła ją na ławie między ojcem i synem — i nie mówiąc, podała chleb i łyżki.

— Dziękujemy. Chleb swój mamy! — rzekł Kornilo, biorąc się do jedzenia.

— Weźcie mego! — poprosiła jak o łaskę.

Karpina wziął, ze swego kawał jej podał.

— To ty mój weź! — odparł.

Olenia przyjęła tę zamianę. Chleb był jednaki, czarny, suchy.

Wróciła z nim do matki i rozłamała na połowę.

— Na, maty, szepnęła — to Huców chleb!

Prytulanki oczy zaświeciły łzami.

— Oj daj, doniu, daj!

Usiadły obok siebie za piecem — i jadły, milcząc. Odłamywały od skibki małe cząstki, zbierały skrętnie okruszyny, a od czasu do czasu na chleba ten kochany padała łza.

Tyle lat on ich karmił, tyle lat go stara piekła; wychodował dziewczynę jak łanię, zdrowo chował kobietę bezdomną.

Teraz odnalazły ten smak znajomy, i w myśli odnajdywały zagony, co go rodziły, dzieje, co go mieściła, piec, chatę — wszystko.

On ci ich własny był — ich rodzony.

— Maty — szepnęła Olenia — on od tutejszego smaczniejszy — i od pierog smaczniejszy.

— Wielkie dziwo! — trzęsąc głową, odparła stara — toć to Huców — nasz!

A potem dodała:

— Nie wiem, kto teraz dziezy pilnuje; „musić“ Marya.

Pewnie Marya! — potwierdziła Olenia.

Zjedli parobcy — skończyli jeść Huce. Czeladna się powoli opróżniała.

Podróźni poprosili miejscowych, aby ich do pani zaprowadzono — i wyszli.

Wielka izba wyglądała ponuro, przy oświetleniu małej lampki bez kominka. Kobiety pozostały same, i sprzątały, co raz-to na drzwi spoglądając. A wtem otwarły się one z łoskotem i, poprzedzając ojca, wpadł Karpina.

— Zbierajcie się, baby — wołkity! Ahyla do domu! — zawołał wesoło.

— Cyt! — upominał go Kornilo i do Prytulanki się zwrócił. — Kiedy wam moja chata była niemiła, trza było rzec, taj po dniu rzucać, a nie wśród nocy, jak złodzieje. Siłą my was nie trzymali, i nie myśleli się rozstawać!

— Nie łaj, kumie! — zawołała Prytulanka, w rękę go całując. — Wiedźmą mnie zrobili: nie chciałam wam wstyd robić.

— Wstyd! — oburzył się stary. Za durnia mnie masz, żeby ja się na głupców oglądał.

Szedł ja całe życie przeciw wsi—i tak dzieci nauczyłem! A ty, że słuchasz gawęd i plotek, toś głupia baba!

— Głupia, kumie!

— Tak jest. Uciekłaś, dyabeł wie czego? Narobiło się kłopotu w chacie, chryi, lamentu. Kartofle we dworze bez was wybrali do połowy, a teraz ja, stary, włóczyć się muszę na kraj świata za wami—taj zapędzać was, jak owce błędne—do domu. Nie, babski rozum—wart niucha tabakil!

— To zabierzcie nas znowu—na zimę?

— Zdurzyła się ciotka całkiem!—zawołał Karpina.

Zegnałem swoje konie tyle mil—czego? Żeby na was popatrzeć—taj samym wrócić?

Prytulanka popchnęła Olenię.

Co stoisz jak ciele! Pocałujże w nogę dziadka.

— Pokłoń się, Olenia, pokłoń—na dobry początek, zaśmiał się Karpina. —Wkrótce będziesz wszystkim się kłaniać! Nu, dobrze, pójdeż ja konie zakładać, a wy się zbierajcie! Miesiąc „samo“ wschodzi.

— Tak, zaraz! Mój Boże! Może pani nie puści.

— Był ja u pani—z listem od naszego pana—uspokoił Kornilo.

Wóz zajechał przeddrzwi. Na turkot zjawilo się kilku parobków.

— Coto? Gospodynię nam zabieracie! Zostawcie choć dziewczynę!—zawołał któryś.

— Ale, zaraz!—oburzył się Karpina. Hodował ja ją sobie, a nie komu!

— A, szkoda! Dobra baba była, i dziewczucha sprawna.

Po złą-by tyle mil koni nie gnali. Wybór był żaden. W tych swoich „latoszykach“ i bosa wyszły kobiety, zegnając wszystkich.

Gapiów zebrało się sporo, patrząc na ten odjazd.

— Drogiesnaż, baby!—mówiono, patrząc, że im dawano kożuchy, sadowiono je wygodnie.

Nareszcie wóz ruszył i księżyc wszedł wyżej, by podróżnym przyświecać.

Wyjechali na drogę. Prytulance wrócił rezon, i ogromnie ciekawa rozpytywała się o sprawy chatnie. Zagadali się tedy ze starym bez końca.

A tymczasem Karpina w zanadrze sięgnął, i Oleni coś za świętę wetknął.

— Moje paciorki!—szepnęła.

— Zaraz włóż, i naciesz się krzywą niemi. Za mały czas trzeba ci je będzie całkiem zrzucić!

— Mój sokoliku!

— Ty! szelmo. „Sokoliku“ mówisz, a uciekać toś gotowa! Poczekaj: przywiążę ja ciebie teraz na wieki—burczał, a bokiem na nią spoglądał i uśmiechał się pocziwie.

Miesiąc się im przyglądał—to z boku—to w oczy. Rzadko widywał, by z tak daleka, ktoś zwoził sobie—dwie baby do chaty—na zimę i przednówek.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KOBIETA W AMERYCE.

To be a lady or not to be: that is the question. Być dystygowaną panią, lub nie być nią: oto cel dążeń i edukacji każdej Amerykanki. Pierwszą książką, którą znajdujemy w rękach każdej nauczycielki, —książką, która obok Biblii znajduje konieczne miejsce w domu, jest *Lady's manual* czyli *przewodnik etykiety*. Największą pochwałą, jaka może spotkać kobietę, jest ta, kiedy się o niej powie: *O! she is such a lady!*

Rzecz to zresztą dość naturalna.

Potomkowie Jerzego Washingtona i tych, którzy pierwsi podpisali akt niepodległości Ameryki, dzieci gubernatorów, officerów angielskich, wychodźców politycznych i religijnych, którzy

byli założycielami Rzeczypospolitej, stanowią dziś starą szlachtę, wysoką arystokracją miejscową. Ich córki! wychodząc za wzbogaconych przemysłowców, zniżają się w skali społecznej, zarówno jak panny z rodów wywodzących się z czasów wojen krzyżowych robią mezalianse, gdy poślubiają dorobkowiczów.

Można sobie wyobrazić, z jaką śmiertelną trwogą pierwsze kobiety europejskie przybijały do portów Ameryki. Wychowane wykwiłnie, wśród cywilizacji zachodniej, towarzyszyły one mężom swym na wygnanie. Naraz wyrwane z łona wygód i zbytku, rzucone zostały w kraj dziki, zarosły dziewiczymi lasami, gdzie każdy własną rękoma wyrąbywać musiał drzewa na założenie osady tworzącej zawiązek przyszłych miast. A zanim uorganizowało się życie na tych nowych podstawach, jakież trwogi i niepokoje przechodzić musiały biedne matki, wielkie i wysoko urodzone damy angielskie, na myśl, że dzieci ich i dalsze potomstwo utracą stopniowo, z biegiem czasu, te owoce ogłady ducha, umysłowej, społecznej i towarzyskiej, które wieki ubiegłe przekazały im w najdroższej spuściźnie!

Europejczycy zwiedzający Amerykę zazwyczaj mają tylko do czynienia ze śmietanką miejscowej arystokracji finansowej, literackiej i artystycznej. Do tej arystokracji wszystko się pnie. Dzieci tych, którzy niemal w ciągu jednej doby stali się milionerami starają się usilnie zająć wyższe stanowisko w towarzystwie. Pierwszem staraniem córki dorobkiewicza jest dorównanie *damom* arystokratycznym.

Parwienuski, których rodowód sięga zaledwie do trzech pokoleń, urągają tym, których dziad dopiero dorobił się majątku, te zaś, których ojciec dotąd trzyma sklep, odrzucane są otwarcie przez tak zwany *wielki świat* miejscowy. Mszczą się one za to, wynosząc się nad inne, mniej bogate, a te stopnie hierarchiczne mnożą się aż do nieskończoności. Mężczyźni mają tylko interes (*business*) na względzie, i w towarzyskich stosunkach dbają li tylko o pieniądze lub o kredyt. Zostawiając zonom zupełną wolność i swobodę we wszystkim, pozwalają im się bawić; ale sami rzadko pokazują się na ich salonach podczas balu lub przyjęcia, przenosząc odpoczynek po żmudnej całodziennej pracy nad gwarne zebrania i czężą nieraz rozmowę.

Ażby prowadzić interessa w Ameryce i wieść życie światowe w sposób, w jaki się to praktykuje w New-Yorku, trzeba być młodym i krzepkim na ciele i duchu. To też, choć tak zwany *flirt* zaczyna się już, kiedy młodzież obojej płci uczęszcza jeszcze do szkół, mężczyźni dorosli i z wyrobionem stanowiskiem rzadko kiedy pojawiają się w świecie zabaw. Z tego też powodu panie otaczają ich taką czcią i honorami, jeżeli zdarzy im się zwabić którego do swego towarzystwa. Wbrew obyczajowi przyjętemu powszechnie w Europie, płeć piękna ubiega się o względy brzydszej połowy rodzaju ludzkiego. Ponieważ jednak nikt w Ameryce nie zaprzęta sobie głowy tem, co robi jego sąsiad, przez to samo już plotki wyrugowane są zupełnie z rozmów, i nie stanowią, jak u nas, rozkładowego czynnika towarzyskości, a nawet elementarnej miłości bliźniego. Ze swobodnych więc stosunków między mężczyznami i kobietami wywiązuje się często najszlachetniejsza i najczystsza przyjaźń, która trwa nieraz całe życie, opiera się zmiennym kolejom losu, i zdradza najszczytniejsze poświęcenia i obustronne ofiary. Rozmowa w tych zaufanych kołach toczy się swobodnie, a przyjemności umysłowe, wspólnie dzielone, górują nad innymi. Tam-to żyje się zdala od ruchu i gwaru, w sferze wyższej umysłem i sercem, niemającej nic wspólnego z płochemi zabiegami tłumu.

Częste bankructwa i zmiany losu powodują nieustanne też przemiany i przewroty w stosunkach towarzyskich. W kraju, gdzie takie miasto Chicago nie istniało jeszcze przed 30-tu laty, niedziw, że żywiły towarzyskie porwane prądem nowych interessów, przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce, ustępując przed nowymi, wzbijającymi się z padołów na wyżyny.

Chicago jest miastem tak olbrzymiem i bogactwem, że pałace jego, parki i sklepy, wielokrotnie przenoszą wspaniałością wszystko to, co się widzi w New-Yorku, Paryżu lub Londynie. Jedna tylko ulica zabudowana prywatnymi domami, przedstawia wartość miliardów. Utrzymują powszechnie, że kto nie posiada co najmniej miliona dolarów, nie może żyć na przyzwoitej stopie w Chicago.

Pomiędzy tymi bogatymi właścicielami znajduje się niejeden może, którego ojciec dotąd handluje trunkami w nędznym sklepiku przedmiejskim. Jakże często miliony rozdzielają rodzeństwo, odrzucając daleko siostrę od siostry! Jeżeli mąż jednej z nich umiał korzystnie wyzyskać genialny jaki pomysł, drugi zaś, mniej zaradny, lub szczęśliwy, wegetuje dalej w niedostatku i biedzie—rwą się węzły wspólności rodzinnej.

W Europie życie towarzyskie, mniej więcej, zawsze tęsamą przybiera formę. W Ameryce, gdzie we wszystkim panuje swoboda, zostawione jest ono fantazji osobistej: kryje też w sobie wiele niespodzianek lub zwyczajów nieznanych w Europie. Domy prywatne nie nadają się do wielkich przyjęć, a że wszystkie są zbudowane na jeden model, daremnie szukałoby się w ich urządzeniu objawów osobistych upodobań mieszkańców. Na zebraniach wskutek szczupłości mieszkań, młodzież, stroniąc od dusznej atmosfery salonów, obiera sobie zwykle stanowisko na schodach. Na pierwszy rzut oka, ugrupowanie to przedstawia ładny widok, ale za każdym otwarciem drzwi wchodowych, zimne powiewy przeciskają się wewnątrz, grożąc zaziębieniem wiośnianym pączkom żywych kwiatków.

Ta niewygoda urządzenia domowego, tyle już zabrała ofiar, że Amerykanie postanowili ograniczyć wieczorne swoje przyjęcia. Panie zaprowadziły modę noszenia sukni pod szyję, lub dekoltowanych tylko *en coeur* na dzienne przyjęcia; ponieważ jednak Amerykanki wogóle odznaczają się niezwykłą chudością, reformę tę w toalecie należy przypisać li-tylko ich dbałości o swój wygląd. Przytem nie posiadają one zgoła familijnych klejnotów i nie nabywają ich, z wyjątkiem soliterów, które każda zamożna kobieta nosi w koleżkach. Wielki przepych przyjęcia zasada się na dekoracyi salonów cieplarnianymi kwiatami, które hodowane są z wielką umiejętnością, i dochodzą nieraz bajecznych cen. Kwiaty te nie mają żadnego zapachu i wyglądają zupełnie jak sztuczne, wyrobione z wosku lub porcelany; ale posiadają tę zaletę, że utrzymują się w świeżości przez parę tygodni. Jeden z bogatych ogrodników w New-Yorku opowiadał mi, że wielu z jego kundmanów, płaci mu po trzydzieści tysięcy franków rocznie za utrzymywanie zawsze świeżych kwiatów w mieszkaniu. Niektórzy zaś dochodzą aż do 50-ciu tysięcy, ale taki wydatek zalicza się już do wyjątkowych.

W razie jeżeli mieszkanie jest zbyt szczupłem dla pomieszczenia wszystkich znajomych, pani domu najmuje salę publiczną, gdzie może popisać się z całym zbytkiem, na jaki ją stać. Celem najgorętszych życzeń każdej Amerykanki jest to, żeby mieć swój dzień przyjęcia. Im większy tłok i ścisk na tych zebraniach, tem większe zadowolenie gospodyni, która, otoczona córkami lub młodemi przyjaciółkami, w balowych, dekoltowanych sukniach, z bukietami w ręku, oczekuje przy drzwiach na przybycie gości. Wszyscy znajomi, przybyli omnibusem lub tramwajem, w zwyczajnych spacerowych toaletach, defilują przed temi paniami, witając je przelotnem ściśnięciem ręki. Ponieważ idzie tu tylko o popisanie się przed światem bogactwem domu, nikt nie zadaje sobie trudu wdawania się w dłuższą rozmowę. Wszyscy przechodzą tylko przez salony udekorowane kwiatami, aż do bufetu znajdującego się w ostatnim pokoju; posiliwszy się, każdy wraca do siebie.

Służba cała w Ameryce składa się prawie wyłącznie z kobiet, nawet w domach bardzo zamożnych. Mężczyźni tak są zajęci pracą, bądź wyrobniczą bądź przemysłową, że bajecznie wysoko liczą swoje usługi w danym razie. Zresztą pijaństwo, nałóg wrodzony Amerykanom, tak się szerzy między nimi, że prawie niepodobna jest utrzymać kamerdynera. Wszystkie prawie ku-

charki, praczki i pokojówki są irlandzkiego pochodzenia. Przybývają one do Ameryki w stanie nawpół dzikim, ale dzięki wrodzonemu uzdolnieniu, cywilizują się prędko i stają się wybornymi sługami, jeżeli tylko zasady równości amerykańskiej nie wszczęją w nich zbytnej hardości i zachwalstwa. Zdarza się bowiem nieraz, że te nieocenione *pomocnice*, jak się same przezwaly, zastępując tą nazwą pogardliwe miano *slug*, w dzień wielkiego obiadu lub przyjęcia, na chwilę przed przybyciem gości, przychodzą do pani domu, aby jej oświadczyć, że niezwłocznie opuszczają służbę.

Gończkowska żąda dorobienia się bądź co bądź majątku, niepokój ciągłej zmiany niestabilnego jeszcze losu, wytwarza u wychodźców, a zwłaszcza też u kobiet, stan nerwowego rozdrażnienia, który stopniowo pochłania siły ich żywotne. Młode kobiety, takie śliczne i świeże w dwudziestym roku, wpadają w stan dziwnego osłabienia, którego jednakże nie można nazwać anemicznym; z czasem jednakże podkopały on siły tej rasy pełnej energii i żywotności, gdyby nie odnawiająca ją wciąż fala emigracji. Ażeby zapobiedz złemu, lekarze wymyślili nowy sposób kuracji. Gdy tylko kobieta zapadnie na modną chorobę, zwaną *nervous prostration*, odosobniają ją od rodziny i posyłają na dwa lub trzy miesiące do domu zdrowia, urządzonego bardzo zbytkownie, gdzie zostają pod opieką doświadczonej dozorczyńi i przez cały czas swojego tam pobytu nie otrzymuje żadnego listu, żadnej wiadomości od rodziny. Chora zrazu stawia opór, buntuje się, odmawia przyjmowania wszelkiej *rest-cure*, czyli kuracji przez wypoczynek, w końcu jednak ulega i stopniowo nabiera sił, zaczyna jeść, spać i tyć—jednym słowem: powraca do życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ze znalezionych kartek.

(Dokonczenie).

Dnia 9-go marca.

A więc nie myliły mnie moje przecucia. Sielanka miłosna odgrywa się przed memi oczyma. Nikczemnym jest ten, kto mi dowodów na to dostarczył, ale to nie zmienia rzeczy, bo dowody nie są sfalszowane.

Co będzie teraz? Panie hrabio, rozkochałeś pan w sobie ubogą szlachecką dziewczynę, ale masz Matkę, która ci na mozalians nie zezwoli, a ty nie jesteś do tego stopnia złym synem i silnego charakteru człowiekiem, żebyś się miał woli jej stanowczo sprzeciwić.

Matka cię może wydziedziczyć, a ty nie umiesz pracować.

Chwilowego stosunku z tą szlachecianeczką nie zawiążesz, bo choć, jak płomień gorąca, czystą jest przeciw jak kryształ. A więc i wasza miłość w związku samym na zagładę skazana. Jak tabun dzikich koni, przeleca burze jesienne po wazszych polach, rozdepczą wonne kwiaty, połamią gałązki młode i będzie łan waszych marzeń do wielkiego cmentarzyska podobnym.

Żal mi kwiatów, ale nie żal mi was.

Wyście mnie, umierającej, dali poznać wszystkie namiętności i pożądania żywych. Przekleństwo wam za to!

Widzieliście, że płomyk życia mojego gaśnie, widzieliście ciało i dusze schorzałą. Czego chcieliście odemnie? Wtej burzy zwęgliła się reszta mojej istoty, teraz tli się już tylko isierka słaba; lada wicher ją zdmuchnie, ale w tej isierce wre całe morze bólu i nienawiści.

Ja zejść do grobu, mam tego pełną świadomość w tej chwili: mogą jeszcze przyjść złudzenia, nadzieje zwodnicze, właściwe przedostatnim chwilo-

lom takich chorych, jak ja. Polepszenie nie przyjdzie.

Więc umieram, ale zemną umrze i szczęście wasze. Ani kropla miłości nie pozostała we mnie. Huragany gorące przechadzają się po wyschłych pustyniach mej duszy.

Czekam końca, duma moja nie ugnie się przed wami, nie ujrzycie moich cierpień, jak nie usłyszycie słowa przebaczenia.

Odejdę niekochająca i niekochana, odejdę pograżać się w nicości. A kiedy cierpieć będziecie i szaleć z boleści, jak ja, to przypomnijcie sobie gorejące oczy suchotnicy. Ile w nich piekła było, tyle wam go przekazuję na resztę żywota!

Dnia 10-go Marca.

Dogorywam samotna. Nie znoszę widoku ludzi. Ojciec przychodzi niekiedy dowiadywać się: czy czego nie potrzebuję. Mnie i to drażni. Zostawcie mnie w spokoju!

Ja Ojcu za nieograniczone przywiązanie do mnie ani szczyptą uczucia odplacić nie mogę, a dla duszy dumnej, jak moja, męką jest przyjmować tyle, a nie dawać w zamian nic.

Rumienię się na jego widok, ale z tego wyschłego źródła trysnąć już ani jedna kropla nie może.

D. 12-go Marca.

Leżę w łóżku i patrzę suchymi oczyma na moją azaleę. Nikt jej nie podlewa—kwiat kona. Czy ją uratować? przypomnieć, że ona spragniona? Sentymentalizm!

A mnie czy podano chłodzący napój do spieczonych gorączką warg?

D. 21-go Marca.

Rzadko teraz biorę pióro do ręki. Umysł wprawdzie pracuje wciąż, ale ciało takie bezsiłne. Dzisiaj jednak zelektryzowała mnie pewna wiadomość.

Ojciec przyszedł z gazetą w ręku donoszącą o śmierci hrabiny R. Pani ta była zdaleka spokrewnioną z nami, ale nie znałam jej osobiście. Nie udzielała się światu, mieszkała samotna w swoich olbrzymich dobrach. Tam była matką i królową. W czterdziestu wioskach swoich własnym kosztem utrzymywała szkoły, zakładała szpitale, budowała ochrony dla starców i kalek. A wszystko to w ciszy, bez rozgłosu, bez pychy.

Czterdzieści szkół! Przyjmijmy, że do każdej tylko 50 dzieci uczęszcza, to dwa tyciące chłopskich konopiastych główek, otwierających się ku słońcu prawdy i piękna.

Gdy porównam zmarnowaną egzystencją moje z życiem tej kobiety, to chce mi się szarpać za włosy. Ja przez całe życie nikomu nie dobrego nie zrobiłam i chciałam konać z kłutwą na ustach! A jak ona umierać musiała? Inaczej inaczej, chyba.

Czy teraz czas jeszcze naprawić lata stracone? Umieram: to prawda, ale śmierć nadaje siłę słowom i zleceniom.

Straszna fala myśli przypląwa mi do głowy.

Mogłabym i ja zostawić szczęśliwych po sobie, ale trzeba by wszystko przebaczyć, o wszystkim zapomnieć. Trzeba by chrześcijanką być na to. A gdzie mnie do wiary, gdzie mnie do przebaczenia!

D. 27-go Marca.

Dzisiaj pół sen pół jawa dały mi słońcem polskiem malowany obrazek. Widziałam duży dwór biały, ocieniony konarami lip i topoli. Było to w lecie przed samym zachodem słońca, wietrzyk szemrał w liściach topoli, błogosławieństwo cizy, urok odpoczynku rozlane były w powietrzu. Od dworu ku bramie szła Wanda w białej muślinowej sukni z rozpuszczonymi czarnymi włosami. Za rękę prowadziła małą jasno włosą dziewczynkę, małego chłopczyka trzymała w ramionach. On spał na matczynej pierś.

Z drugiej strony od pola szedł Janusz i wyciągał ręce do matki i do dzieci...

Ja tam byłam przy nich, ale jakaś dla ludzkich oczu niewidzialna, i obrazek ten nie wzbudził już gniewu ani zazdrości w mem sercu.

W mojej mocy jest to z przyszłości wywołane widmo rzeczywistością uczynić.

Gdyby ojciec po śmierci swej Anielki adoptował Wandę, gdyby jej oddał mój posag, a przynajmniej część jego pewną, to matka Janusza nie mogłaby mieć nic do zarzucenia temu związkowi.

Czy podobna, abym ja to zrobiła?

Dla czegoż ona ma zabrać wszystko to, co mnie przeznaczonem było? Żką ona ma mieć większe, niż ja, prawo do miłości, do uciech rodziny, do przywiązania męża i uścisków dzieci. Gdzie odpowiedź na to pytania!

Chrystus przebaczać! Chrystus kochać każe. Nie, to nad siły moje!

D. 30-go Marca.

Znów miałam krwotok. Tym razem będzie to ostatni. Trzeba się śpieszyć, tyle mam do zrobienia przed śmiercią. Gorączka ustała zupełnie, dobrze mi, zdrowa jestem, ale siły uchodzą. Już nawet ręką poruszam z trudnością. Prosiłam ojca, żeby przyszedł do mnie na dłużej, mam z nim pomówić. Jak on to przyjmie! Jak on to przyjmie! On może ludzi się jeszcze.

D. 31-go Marca.

Już wszystko dokonane. Mówiłam z Ojcem, zgadza się na wszystko. Wiedziałam, że tak będzie: nie odmawia się niczego umierającemu dziecku.

Więc tak, moja Wando. Zajmiesz moje miejsce na świecie i oby ci ono, ty jasna siostrzyczko moja, nie przyniosło nieszczęścia!

Januszu, możesz śmiało pojąć ją za małżonkę. Matka twoja będzie miała synową z tysamym nazwiskiem i z tysamym majątkiem tylko piękniejszą, młodszą i lepszą, niż ta, która nią być miała poprzednio.

Wszystkie klejnoty moje i mojej matki pójdą na światło i na chleb dla chłopskich bosych sierot. Poszłyby także i modlitwy moje, gdybym się modlić umiała.

Straszna to rzecz widzieć płaczącego starca, a ojciec wczoraj przy moim łóżku nie mógł się od łez powstrzymać.

Prosiłam go, żeby uwiadomił Janusza i Wandę o moim postanowieniu, żeby im powiedział, iż ich małżeństwo jest moim najgorętszym życzeniem i ostatnią wolą moją, i żeby ich przysłał do mnie, gdy się już o wszystkim dowiedzą i na wszystko zgodzą.

Nieprędko widać zdecydował się biedny ojciec na spełnienie mego zlecenia, bo dopiero w trzy godziny po naszej rozmowie przyprowadził ich do mego pokoju. Ja ich już tak dawno nie widziałam!

Jak się ta Wanda zmieniła! Pobladła, pochylała się. Straciło biedactwo tę świeżość rozkwitłego kwiatu. I za cóż ja tak dręczyłam to biedne dziecko?

Weszła nieśmiało, podnosząc na mnie zaledwo załawione oczy trwożliwej gazeli, a kiedy wyciągnęłam do niej rękę, przypadła do mego łóżka i, ukrywając twarz w dłonie, rzewnie płakać zaczęła.

Niewytlomaczone wzruszenie ogarnęło mnie na widok tej ciemnej główki, schylonej obok mnie.

— Wandziu, siostrzyczko moja, czemu ty płaczesz? Panie Januszu, daj mi rękę i wytłomacz jej, że nie trzeba tak bardzo martwić się tem, co koniecznie stać się musi. Moi drodzy, poprosiłam was, bo mi trzeba przed śmiercią waszego widoku, waszego przebaczenia i waszej miłości. Byłam względem was niesprawiedliwą, darujcie mi wszystkie złe uczucia.

Janusz milczał; Wanda płakała,—nie mogłam z niej słowa wydobyć.

— Wandziu moja, czy zgadzasz się na to, co ci ojciec powiedział? Nie odmawiajcie mi. Umrę wesoło i spokojnie, jeżeli widzieć będę, że wam przynajmniej szczęście zapewnić umiałam.

— Nie umrzesz, nie umrzesz! — wybuchnęła Wanda, łkając.

— Umarę, moja dziewczynko mała, ale ty się tem nie martw.

Od dzieciństwa życie było mi ciężkie, nieznośne: wyglądam uspokojenia.

— Anielko, nie mów tak wiele — błagalnym głosem wtrącił ojciec.

— Dobrze, mój ojczu, już kończę. Januszu, czemu ty do mnie nie mówisz? Przebacz mi, bracie!

On podniósł na mnie ostatni raz błękitne, smutne źrenice. Miłość prawie była w tem spojrzeniu. Ujął moją przejrystą wychudłą rękę, wycisnął na niej długi pocałunek i szepnął tak, że ja tylko dosłyszeć mogłam:

— To ty mi przebacz, moja święta.

— Przebaczam ci, Kochaj ją—odpowiedziała taksamo.

Pocałował mnie jeszcze raz i, zakrywając twarz rękami, wybiegł z pokoju.

Po jego odejściu uściskaliśmy się z Wandą—długo, serdecznie. Żal mi było, że ja tego pocztowego dziecka już nigdy więcej nie przytulę do piersi. Rozstanie takie ma swoje boleści!

— Wandziu, jej trzeba spokoju, przyjdiesz później, moja duszo, zostawmy ją teraz — rzekł ojciec.

Gdy odchodziła, zatrzymałam go za rękę. Biedny mój ojczu, tobie jednemu dziecko twoje, umierając, nie zostawi innej spuścizny, prócz łez i boleści! Tobie nie nagrodzę już mojej obojętności i goryczy! O ty mój ukochany, ty jedyny! Względem ciebie ja najwinniejsza.

Ostatnią resztką sił moich zwlokłam się z łóżka; całowałam mu ręce i nogi. Wszak to mu miało już na całe życie wystarczyć...

D. 31-go Marca

Obudziłam się dziś rano z duszą tak czystą, z myślą tak jasną, jak wtedy, gdy m trzyletnią dzieciną na światło poranku otwierała źrenice, i każdy dźwięk przyrody był mi muzyką, każda barwa i promień poematem.

Spojrzałam w błękit nieba—i poczułam za nim Boga.

O dzięki Ci, mój Stwórcu, przetworzyłeś mnie napowrót w niewinne dzieciątko!

Te kilkanaście lat mąk i burzy przeszły niby sen. W miłości się skapałam i żyję.

Zamknęła się otchłań, co tak długo wisiała nademną, wiara dawna dziecinna zstąpiła do duszy mojej.

Jak mogłam wątpić o Tobie, Ty, Ojczu, Ty, Panie, Ty Ideale mój!

Radości ducha mego nie wypowiem: użijam się tylko przed Tobą i płacząc łzami miłości.

Tak przebaczyć złe, ukochać tych, co mnie skrzywdzili, zapomnieć o sobie a posłuchać przykazań Twoich było potrzeba,—aby fale zwątpień opuściły mą duszę zmordowaną.

Za cenę miłości odzyskałam wiarę.

D. 1-go Kwietnia.

Prosiłam ojca, by mi sprowadził spowiednika. Pragnę przed Tobą, Chryste, otworzyć mętne myśli moje.

D. 2-go Kwietnia.

Spowiednik cudzoziemiec nie pojął mnie, surowo potępił moją niewiarę; alem ja z pokorą Chrześcijanki przyjęła upomnienia i pokutę.

Boże! lata buntu niech uległością nagrodzę.

D. 3-go Kwietnia.

Dziś przyjęłam Komunię Świętą. Chrystus zamieszkał we mnie.

Wesoło czekam mego końca.

D. 5-go Kwietnia.

Ostatni raz biorę pióro do ręki.

Ach, jak mi dobrze cicho i spokojnie! Po latach walk i burzy duch mój napowrót taki cichy, jak pierwszego dnia, w którym poczuł sam siebie.

Bóg wyciągnął dłoń i wygładził fale spienione. Teraz mi tylko odlecieć.

Odzyskałam Cię, Boże, Ojczu dzieciństwa mego i znowum pokorną służebnicą Twoją. Wiem już, że nie odrzucisz dziecka Twego za to, że tak długo błąkało się zdala od Ciebie. Wierzę, żeś widział wszystkie męki i upadki moje, żeś policzył moje bezsenne noce i dni bolesne.

Idę do Ciebie z taką ufnością, jak dziecina do matki.

Niema już we mnie żadnych ziemskich pragnień; są inne teraz, zaświatowe tęsknoty.

O, pozwól mi, Boże, zostać po śmierci zaczerpniętą wróżką moich pół rodzinnych! Niech po księżycowym promieniu spływam między wodne lilije stawów i jezior, niech jako duch biały unoszę się w gwiaździstą noc nad falą szepczących zbóż, niech błędnym ognikiem migam nad łąkami i pastuszkom wiejskim smętne melode do fujarek wlewam!

Niech niewidzialna siadę na łódź wioślarsza i łódkę jego po sienie fali rzek prowadzę; niech szarym rankiem oraczowi skowrończą pieśnią nadzieję i otuchę wlewam; niech matce nad kołyską dziecka najcudniejszych piosenek watek snuje; niech w wiejskim kościele ludowi na chórze przygrywam; niech wiosną na opuszczonych w polu mogiłach nasiona wrzosów i konwalii sieję!

O, Boże, wszak nie pogańskie są te pragnienia. Myślę: czem może być ten drugi zaziemski byt?

Jeśli on wielkim oceanem marzeń, to płyn, mój duchu, płyn w tę dal tajemniczą. Ach, płyn prędzej!

Duszno mi.... słabo.... czuję, że odchodzę....

Ziemi, żegnaj ciebie. Idę do twego i mego Stworzyciela.

C.

Z WIEDNIA.

Widoki na wiosnę. — Karnawał. — Hygiena w szkołach. — Rocznicę śmierci następcy tronu. — Rozwiązanie parlamentu i dymissya Dunajewskiego. — Opera Straussa. — Judic. — Emancypacya kobiet w Niemczech.

w Lutym.

Odtajało nareszcie cokolwiek i u nas. Nawet słonko chwilami wygląda z poza szarych obłoków poślaca błyszczący asfalt na Grabenie i wspaniałe gmachy na Ringach. Jesteśmy w oczekiwaniu wiosny, a wraz z nią i wylewów, które nie na żarty grożą podalpejskim okolicom; gdy przemiłą, pofruniemy do uroczej Karyntyi, orzeźwić puca pysznem górskim powietrzem, podziwiać malownicze widoki natury i dzieła człowieka, naturalnie, jeżeli lawiny staczające się z gór nie zrównają ich z ziemią.

Mieszkańcy równin nie są w stanie ocenić dobrodziejstwa, jakim jest ich bezpieczeństwo wobec żywiołów przyrody. Góral kładzie się obecnie co wieczór spać z myślą, że obudzi się nazajutrz pod śniegiem, który zasypie i jego i całą jego chudobę, albo nawet, że się wcale nie obudzi. W roku bieżącym, zpowodu silnej zimy i znacznej ilości spadłych śniegów, niebezpieczeństwo jest o wiele większe, niż zazwyczaj.

Miejmy nadzieję, że katastrofy elementarne oszczędzą biedaków, a tymczasem przyjrzyjmy się życiu: „nad pięknym modrym Dunajem“, płynącemu, jak zwykle, szeroką i pieniącą się falą.

Karnawał! W początkach niezbyt skoczny, gdy się zaczął rozmachiwać po swojemu, stanęło mu na przeszkodzie niemało rozwiązanie parlamentu. Skutkiem tego też i bal dworski, odbywający się corocznie w salach reutowych, nie miał zwykłej swej świetności. Ani cesarska para, ani księżna Stefania nie ukazali się na sali tańców. Zabawa jednakże szła ochoczo, a stroje

dam odznaczały się wielką wytwornością i gustem. Cesarza i jego małżonkę zastępował arcyksiążę Karol Ludwik ze swą małżonką Maryą Teresą. Zpośród toalet wyróżniał się prawdziwie przepyszny strój pani Wotanabe, żony posła japońskiego. Miała ona na sobie suknię zrobioną ze srebrnego brokatu, obramowaną strusiami piórami i przyozdobioną kolosalną ilością dyamentów. Marya Teresa prześlicznie wyglądała w białej sukni haftowanej srebrem i usianej brylantami. Bal rozpoczęto o godzinie 8 walcem, tańczonym przez arcyksiężnę Małgorzatę z hrabią Kińskim, ukończono zaraz po północy... tego bowiem wymagają przepisy higieny, których ściśle przestrzegają u dworu i w arystokracji.

Rozporządzeniem ministerjalnem ma być wprowadzony do szkół obok historii naturalnej treściwy wykład anatomii człowieka, niezbędnych dla każdego wiadomości z higieny, a także sposoby najprostsze: jak dawać pomoc ludziom, którzy nagle zachorowali. Wiadomości te mają być tego rodzaju, aby się nie ograniczyły wyłącznie do potrzeb życia uczniowskiego, lecz także, aby oddziaływały korzystnie na zdrowotność całego domu, całej rodziny, a więc i całego narodu. Wykładem zająć się mają specjalnie do tego mianowani lekarze, za co otrzymywać będą od 100 do 150 guldenów rocznej płacy—co prawda, niewiele, lecz w każdym razie jest to z pewnością jeden z najpożyteczniejszych, a może i najpożyteczniejszy dekret, jaki kiedykolwiek wyszedł z gabinetu ministra oświaty. Ubędą w ten sposób uczniowi dwie albo trzy godziny z innych przedmiotów, mniej się nauczy krytalografii, geometrii wykresnej albo greki, ale za to nabierze pojęcia: w jaki sposób żyć: jadać, sypiać, odziewać się i t. p., aby oszczędzić zdrowia i władz umysłowych.

Minęła druga już rocznica śmierci arcyksięcia Rudolfa. Dnia 31-go Stycznia, najpierwsza przybyła o godzinie 7-ej rano do oświetlonych grobów cesarskich pozostała po następcy tronu austriackiego wdowa, arcyksiężna Stefania z córeczką, aby pomodlić się przy zwłokach przedwcześnie zgasłego małżonka, w którym naród pokładał tyle nadziei. W godzinę później przybyli bez żadnego orszaku oboje cesarstwo i zostali przyjęci przez dwóch zakonników z pochodniami, przy których oświetleniu udali się do podziemi oo. Kapucynów. Tu kłęcząc przy sarkofagu syna modlili się przez dłuższy czas. Cesarzowa rzewnie płakała. Następnie zwiedzono i inne groby, a między niemi i niedawno zgasłej arcyksiężniczki Maryi Antoniny Immakulaty. Na grobie arcyksięcia złożono wiele bardzo wieńców i girland ze świeżych kwiatów.

Zatrząsł się ów wspaniały gmach na Franzens Ringu pod gromami Jowisza. Wprawdzie nie runęły jego istic herculesowe posady, ale wytrzymał ze swego łona dotychczasową zawartość: rozwiązano parlament.

Nie wspomnielibyśmy o tem, gdyby nie to, że w tym ogólnym przewrocie dostał dymissyą minister finansów Dunajewski, który przez przeciąg jedenastu lat swych rządów poprawił oplakany stan finansowy Austrii i usunął niedobory z budżetu państwowego, gdy przy poprzedniej gospodarce wynosiły one stale kilkadziesiąt mil. guld. Co złożyło się na usunięcie takiego ministra, którego następcę, Dr. Steinbach, zaraz na wstępie zaznaczył, że kroczyć będzie drogą przez niego wytkniętą, to dopiero historia stanowczo wyjaśni. Tymczasem prawdziwie zabawnym jest ryk radosny, jaki wydały czasopisma niemieckie, na wiadomość o usunięciu się polskiego ministra.

Zarzucają mu, że obciążał podatkami. Ciekawa rzecz, czy komu innemu uda się gospodarować w Austrii w inny sposób. Ha! kto wie, może odnajdą jaką Kalifornią!

Ulubiony kompozytor walców i operetek, Jan Strauss, skomponował nową operę do libretta napisanego przez Ludwika Doczi, i złożył ją dyrekcyi cesarsko-królewskiej opery. Dotąd nierozstrzygnięto jeszcze ostatecznie: czy wystawienie jej nastąpi w okresie bieżącym, czy też odłożone będzie na czas poferyjny. W każdym razie będzie to prawdziwa uroczystość muzyczna

dla Wiedeńczyków, szalejących ze swym „królem walców“.

Dotąd Strauss wraz z Millöckerem i innymi *minorum gentium* kompozytorami operetkowymi, królował w teatrze „an der Wien“. W ostatnich jego utworach zaczynała już dźwięczyć cokolwiek czulsza nuta, przeblyskiwała nieco poważniejsza myśl; od „Zemsty Nietoperza“ do „Barona Cygańskiego“ odskok pod tym względem już nie mały. Mimo to prawie niepodobna uwierzyć w powodzenie jego opery poważnej w klasycznym Operenhauzie, gdzie cały dobór osób, z dyrektorem Johnem na czele, nie nadaje się do śpiewania: „glücklich ist wer vergisst, was nicht mehr zu ändern ist...“ Lecz nie uprzedzajmy wypadków. Jeżeli Rossini pisał opery komiczne, może Strauss komponować poważnie!

Przed tygodniem rozpoczęła przedstawienia w teatrze Karola gwiazda teatru Variétés w Paryżu, „niedościgniona“ Anna Judic. Ponieważ, o ile pamiętam, nie występowała dotąd nigdy w Warszawie, pozwolę sobie, w dzisiejszym moim mozaikowym liście, zamieścić sylwetkę tej prawdziwie zajmującej istoty.

Pani Judic jest córką utrzymującej kawiarnię w zabudowaniach wyżej wymienionego teatru, mamy Dumiens. Od najpierwszej młodości sprytna Anusia przyglądała się z zajęciem artystkom i artystom tego wesołego przybytku podkaszanej muzy, przysłuchiwała się uważnie ich rozmowom, słuchała recenzji sztuk i ról aktorskich. Nic przeto dziwnego, że pokochała teatr i że zakiełkowała w jej główce myśl zostania aktorką. Po pierwszym występie okrzyknięto ją za fenomen. Droga jednakże do teatru, a zwłaszcza do tryumfów, w Paryżu nie jest wysłaną puchem. Tysiące dobija się o sławę i o łatwy zarobek. Mimo licznych protekcyi klientów i klientek mamy—kawiarki, nie prędko otworzyły się podwoje teatru przed uroczą Anusią: musiała zaczynać od wykonywania piosenek w *cafés-chantants*. Dopiero w roku 1870 mistrz Offenbach, usłyszawszy ją w Eldorado, gdzie odziedziczyła tryumfy po sławnej Teresie, zaangażował pannę Judic do teatru Gaité. Od tam rozpoczyna się jej prawdziwa karyera teatralna. Stworzyła ona nowy *genre* operetkowy i przez długi czas nazywana była królową operetki. Później palmę pierwszeństwa pod tym względem zdobyła słynna Théo, popisująca się obecnie w Nicei; Judic zaś przeniosła się do teatru Variétés gdzie zastąpiła godnie pannę Schneider.

Podobnie jak wiotka Sarah zapragnęła i pulchna Anna, aby ją obie półkule podziwiała. Śpiewała więc nad Morzem Czarnym i w San-Francisco, we Lwowie i w Bukareszcie. Kamiennym pomnikiem tych artystycznych wycieczek jest pałac w Paryżu na ulicy de Boulogne.

Dzisiaj artystka dawno przebyła wiek kwitnący, liczy około czterdziestu lat, nabrała pięknej korpulencji, i doprawdy dziwić się można, że, zwiedziwszy świat cały, nie złożyła wizyty... Marienbadowi.

Gra Judic jest nadzwyczaj umiarkowaną. Posiada ona w wysokim stopniu to, co w języku teatralnym zowią: *l'art de glisser*. Wypowiada najtłustsze dwuznaczniki takim głosem i tonem, z taką minką niewiniątka i dźwięcznym uśmiechem, że jej się wszystko udaje i wybacza. Kokieterii, którą tak obficie szafuje większość dzisiejszych aktorek, nie znać u niej wcale; z wdziękiem i prostotą łączy się u niej wysoki, do wysokości samych sztuk zastosowany artyzm.

W wodewilu „La femme a Papa“ upija się szampanem Judic na scenie. Scena ta należy do prawdziwych arcydzieł sztuki aktorskiej. Porównać Judic w niej można jedynie do nieboszczki Bakałowiczowej, gdy odtwarzała swą znakomitą rolę w „Sztuce przypadobania się“.

Judic gości poraz trzeci w Wiedniu, a każdy jej występ ściągają tłum doborowej publiczności do Teatru Karola.

Rozpisałem się o niej, dlatego jedynie, że jeżeli na scenie nieuniknioną już jest operetka i farsa,

to bez Judic nie można o nich mieć właściwego pojęcia...

W Niemczech, głównie zaś w prowincjach południowych, w sprawie emancypacji kobiet kwestya lekarzy płci żeńskiej odgrywa bardzo ważną rolę i nawet w kołach lekarskich zyskuje sympatyę. Jeden z najznakomitszych gynecologów d-r Wincel w Monachium pochwała usiłowania w tym kierunku.

Professorowa M. Weber w Tybindze, stojąca na czele ruchu emancypacyjnego w Niemczech, wydała broszurkę p. t. „Lekarki chorób kobiecych“, która znalazła wielkie rozpowszechnienie i uznanie.

Pani Weber żąda tedy, aby kobiety kształciły się na lekarki specjalnie do chorób kobiecych; aby posiadały możność studyowania medycyny i zasiadały na katedrach: proponuje więc, aby ustanowiono kursa medyczne równoległe dla studentów męskich i żeńskich, a, naturalnie, żąda także podobnie równoległych klas i w gimnazjach.

Czy instytucje parlamentarne i naukowe zgodzą się z projektami wnioskodawczyni, czy uwzględnią to co powiada: „Ponieważ kobiety lekarze praktykują już dziś we Francji, Anglii, Rosyi, Szwecyi, Szwajcaryi, Ameryce, i t. p., niechże Niemcy pod tym względem nie pozostają w tyle, niech nie stoją na przeszkodzie w szerzeniu oświaty i dobrobytu zdrowotnego“, — to dopiero przyszłość wykaże.

W ogólności ruch emancypacyjny kobiet niemieckich głównych posiada zwolenników na południu; prowincje wschodnie i północne słabe znaki życia dają pod tym względem, a o ile wiemy, w parlamencie znajdują nie najlepszy odźwięk. Projekt ustanowienia lekarek do chorób kobiecych dziś jeszcze zapewne nie zyskałby większości.

Kronika działalności kobiecej.

— Petersburgskie towarzystwo opieki nad ho-nami i niańkami złożyło władzom opracowany statut swój do zatwierdzenia.

— Zawijające się w Petersburgu towarzystwo leczenia nałogowych pijaków, postanowiło urządzić oddzielny przytułek dla kobiet pijaczek. Szczegółowa opieka i nadzór zwierzchniczy będzie powierzony kobietom.

— Praktyczny kurs gospodarstwa domowego w szkole rzemiosł hr. Cecylii Platerówny przy ulicy Pięknej, o którym pismo nasze podało już poprzednio wiadomość, zostaje obecnie urządzony z trwaniem trzymiesięcznym. Komplet uczennic 10; naukę rozpoczyna obznajmianie się uczennicy, gdzie i jak należy czynić zakupy zapasów żywności, w tym też celu uczennice po dwie udawać się razem będą kolejno na targ z osobą nauczającą. Nauka odbywać się będzie praktycznie, podobnie jak i nakrywania do stołu, podawania potraw, pieczenia ciast, przyrządzania i przechowywania zapasów spiżarnianych, utrzymywania w porządku kuchni, czyszczenia naczyń, wreszcie prania i prasowania bielizny. Czas nauki od 10-ej rano do 4-ej po południu; te z uczennic, na które wypadnie kolej nauki zakupów na targu, powinny przybywać do zakładu o godzinie 8-ej rano. Opłata za kurs całkowity 30 rs.

— Egzamina na nauczycielki (i nauczycieli) odbywać się będą przed d. 13 Marca. W Warszawie należy składać podanie do kuratora okręgu naukowego, dyrektorów gimnazjalnych, lub inspektorów. W progimnazjach składa się tylko egzamina na stopień początkowej nauczycielki (i nauczyciela). Do podania należy przyłączyć metrykę, dowody szkolne, kto je po-

siada; świadectwo moralnego prowadzenia i pochodzenia.

— Dzienniki donoszą o dwóch odczytach, które p. H. D., nauczycielka, zamierza wkrótce wygłosić. Treść odczytów ma się odnosić do metody nauczania pogładowego. Dochód przeznaczają prelegentka na dobroczynność.

— Jedna z księgarni warszawskich używa do kolporteryi kobiet, które bardzo dobrze wywiązują się z tego obowiązku, odpowiadającego siłom kobiety.

— *Gazeta Lubelska* rozbierając stosunki życia tamtych okolic, zwraca uwagę na szczęśliwie praktyczny zwrot w przygotowaniu się do pracy potrzebnej kobiecie. Panny wiejskie odbierają zwykle wykształcenie naukowe średnie, ale następnie znaczna ich liczba uczy się w warszawskich szkołach rzemiosł jakiejś gałęzi pracy kobiecej, dla której jednak nie porzuca domu rodzinnego, lecz, pracując u ogniska domowego, przykłada się do pomnożenia ogólnego dobrobytu. Krawieczyna, szycie rękawiczek, wyrabianie pończoch, kwiatów sztucznych, wreszcie pszczolnictwo i ogrodnictwo są najliczniej uprawiane, a kto wejrzy uważnie w stan dzisiejszy gospodarstwa rolnego, zrozumie jak takie pracowite zajęcie się kobiety jest pożyteczne i potrzebne. Brak kapitałów, brak kredytu utrudnia obecnie w stopniu wysokim prowadzenie gospodarstwa rolnego, i ten grosz gotowy, który może przynieść praca kobieca, lub grosz zaoszczędzony przez tę pracę, staje się bardzo pożądanym w życiu rodzin wiejskich. Tosamo można i należy powtórzyć i o rodzinach miejskich.

— *Kraj* w trzecim numerze pisma swego, zamieścił artykuł hr. Wojciecha Działoszyckiego (Listy z Jezupola) o znaczeniu wpływu kobiet na oświatę ludu wiejskiego, wykazując, że kobieta może tu zrobić więcej, niżeli mężczyzna, tak przez rozpowszechnianie w rozmowach z kobietami wiejskimi, jak przez przykład dawany z siebie, zdrowych pojęć o życiu. Jak mężczyzna sam nie zdoła nigdy bez pomocy kobiety, żony, dźwignąć się majątkowo do pożądanego stanu, tak również trudno jest wywiązać się samotnemu z obowiązków społecznych, obywatelskich, oświecenia, cywilizowania klas niższych. Autor zakończył zdaniem, że mężowi należy działać przez czyny, gdy „żona powinna być duszą tego apostołstwa“.

— Niedawno odbyło się we Lwowie, w sali Arcybractwa Miłosierdzia, zebranie pań, należących do towarzystwa opieki nad murzynami, na którym uwiadomiono stowarzyszone, że kassa Towarzystwa posiada 440 zł. r., i z tej summy przesłano zaraz po zmienieniu jej na fr., 800 fr. kardynałowi Lavigérie dla murzynów do Afryki. Ciśnie się też mimowoli na usta zapytanie, czy Lwów i jego okolice są tak wyjątkowo szczęśliwe, że niema tam wcale białych murzynów życia, pracujących w pocie czoła na utrzymanie rodziny, nieraz liczonej; czy niema tam starców samotnych, o zasłużonej przeszłości, wdów, sierot biednych—młodzieży ubogiej, która potrzebuje nauki? Jeżeli tak jest: że uboga Galicya stała się nagle tak bogatą i wyjątkowo szczęśliwą, przyklasnąć trzeba tej tkliwości ofiarnej, jeżeli zaś przeciwnie—jeżeli znajduje się gdzieś bliżej, niżeli w Kongo, nędza dusz i ciał: brak chleba dla starców i kalek, brak światła dla młodzieży, to trzeba przypomnieć tym miłosiernym osobom, stary aforyzm Brodzińskiego, jeżeli ten nie—Afrykańczyk jest im znany? „Czyń każdy w kółku swoim, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży“. Na wspomnianej sesyi, sekretarka Towarzystwa doniosła zgromadzonemu, że w Tarnowie założono nową filię stowarzyszenia, liczącą 100 członków, przeważnie kobiet. I w Warszawie objawiły się pokuszenia podobne, ale opinia publiczna postawiła tu *veto* swoje.

— W Monachium kwestya potrzeby kobiet lekarek dla chorób kobiecych poruszyła umysł, zyskując sobie stronnika w osobie wysoko to cenionego i uczonego lekarza, Dr. von Winckel. Już ubiegłej jesieni na kongressie kobiet niemieckich, naradzających się nad kwestyą pracy kobiecej, podnoszono znaczenie stanowiska kobiety lekarki i obecnie *Powszechne Stowarzyszenie ko-*

biet niemieckich zamierza wnieść do parlamentu petycją w tym przedmiocie.

— Professorowa Weber z Tübingen wydała broszurę: „Kobiety jako lekarki chorób kobiecych“, żądając dla kobiety najpierw wolnego przystępu do studyów uniwersyteckich, następnie oddania kobietom katedr uniwersyteckich z celem równoległych wykładów dla słuchaczek kobiet tychsamych przedmiotów nauki, jakich słuchają studenci, co znaczy urządzenie uniwersytetów kobiecych, z planem takiej samej nauki, jaką dostają mężczyźni. Musiałoby to przecież być w związku z poprzednią nauką dziewcząt, z gymnazyami przygotowującymi do studyów uniwersyteckich i tego też żąda autorka broszury, a stanowi to rys charakterystyczny emancypacyjnego ruchu Niemek, że nie dobijają się tak, jak gdzieindziej, o miejsce w szkole wspólnej z mężczyznami, ale przeciwnie, żądają od społeczeństwa szkół kobiecych, gdzieby mogły w sposób najdogodniejszy i dla przyszłości życia najpożyteczniejszy czerpać naukę dającą przystęp do zawodów pracy chlebobodajnej. W Anglii, Francji, Szwajcarii, w Szwecyi, w Ameryce, kobieta lekarz praktykuje na mocy otrzymanej aprobaty państwa, otóż Matylda Weberowa żąda tegosamego dla Niemki, jakkolwiek parlament niemiecki oddalił już dwie takie petycje, — żąda, aby kobieta chcąc pracować w zawodzie lekarskim mogła pobierać naukę w ojczyźnie, nie szukając jej w Szwajcarii. Motywa odpowiedzi parlamentu nie były w zasadzie przeciwne temu, ponieważ w Niemczech wolno jest kobiecie lekarce praktykować, ale kazano petycyonariuszkom zwrócić się z żądaniem do poszczególnych krajów Rzeszy. Te również, nie odmawiając w zasadzie, wykazały naodwrot parlament, jako władzę rozstrzygającą, czyniąc z kwestyi coś, jak węzeł gordyjski. Jest tu przecież w głębi przyczyna, różnoważnego interesu dla kobiet wszelkich narodowości, bo rządowi niemieckiemu chodzi o to, aby kobieta nie stawiała się w pracyrywalką mężczyzny, gdyż ten, pozbawiony środków zarobkowania, nie stworzy ogniska domowego, więc kobieta, którą obrałby za towarzyszkę życia, zostanie samotną i żadna z obu stron nic nie zyska, a obie stracą wiele.

Te objawy zabiegów kobiety o pracę na własną rękę ograniczają się dotąd do Niemiec Południowych i tam wyłącznie mnożą się środki udzielanej jej w tem pomocy. Właśnie w tym czasie bezimienna ofiarodawczyni złożyła w Monachium 30.000 marek na stypendya uniwersyteckie dla kobiet.

— Parlament francuzki uchwalił prawo opiekujące się pracą kobiet do lat osmnastu, dla wszystkich zaś robotnic bez wyjątku zastrzegł świętowanie jednego dnia w tygodniu, śmiesznie przytem unikając chrześcijańskiego orzeczenia: „świętowanie Niedzieli“. Zakazanie kobietom pracy nocnej, prawdziwie dobroczynne pod wielu względami, nie zadowolniło przecież nikogo, ani pracodawców, ani pracujących, co jest rzeczą wielce smutną, bo o zakaz pracy nocnej kobiet upominali się we Francyi oddawna najszlachetniejsi, ludowi najprzychylniejsi pisarze i myśliciele. Juliusz Simon domagał się silnie tego prawa przez całe lat szeregi; szlachetny głos Micheleta zawołał z goryczą bolesną: — „Robotnica! wyraz bezbożny... robotnica, wyraz przeklęty!..“

— W Paryżu utworzyło się dobroczynne stowarzyszenie kobiet, płacące rocznie jednego franka na utrzymanie gospody kobiet, które przebywają z prowincyi, szukając w Paryżu pracy. Nizka opłata składki spowodowała ten skutek pożądaný, że liczba stowarzyszonych liczy się na wiele tysięcy i zarazem te tysiące stowarzyszonych biorą udział w rozpowszechnianiu wiadomości o zakładzie, przez co wiadomość ta przenika łatwiej do klas niższych, na wieś, gdzie stowarzyszenie usiłuje mieć współdziałających członków.

— Angielka oddająca się dobroczynnie powołaniu świeckiej siostry, miłosierdzia M-rs Frank, podjęła jako też dzieło miłosierdzia pracę objaśniania kobiet, żyjących w rodzinie, jak należy obchodzić się z chorym. Z początkiem bieżącego miesiąca rozpoczęła szereg odczytów za dowolną opłatą, składaną do puszki na ubogich; treść odczytów jest: „Pomieszczenie chorego“, „szczegóły pielęgnowania“, „wykonywanie przepisów lekarza“, „choroby zaraźliwe“, „opatrzywanie ran, stłuczeń, obrażeń ciała“, „rekonwalescencya“.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie zwracają uwagę na energiczne zaludnianie przez Chińczyków ziem Mandżuryi, graniczących z krajem Usuryjskim. Wzdłuż rzeki Sungari, posiadają już Chiny poważną podstawę operacyjną. Basen tej rzeki z miastami Sensi, Ningata, Cycykar i Girin, do którego ma być z głębi Chin doprowadzona kolej żelazna, są obecnie dziesięćkroć razy gęściej zaludnione, niż Usurya. Ułatwienie komunikacji między centrum państwa chińskiego a jego kresami podniesie siłę krain nadgranicznych, ułatwiając gęstsze zaludnienie Mandżuryi. W ostatnich czasach przybyło Usuryi 15,000 przesiedleńców, a rzecz to niemal bez żadnego znaczenia wobec obszarów tej krainy, na której rozłożono tylko zaledwo 35 mieszkańców na milę kwadratową, gdy przestrzeń ta mogłaby wyżywić obficie pięćdziesiąt razy licniejszą ludność.

— Wyprawa do Abissynii organizuje się w Petersburgu pod dowództwem porucznika Maszkowa, wezmą w niej udział trzy osoby; wyprawa zjedzie się w Odessie i ztamtąd zaraz wkrótce wyruszy.

— Wystawa nasion została otwartą d. 22 b. m. w głównej sali Muzeum Przemysłu. Czynność komisyy sądzącej rozpoczęła się d. 24.

— Pomnik na grobowcu ś. p. Wincentego Korotyńskiego wykona p. Andrzej Pruszyński, który dodaje tu od siebie medalion nieboszczyka, wymodelowany przez siebie i odlany z brązu. Leon As, księgarz w Wilnie, ofiarował na rzecz pomnika cały zysk, osiągnięty niegdyś z wydawnictwa przekładu piosenek Beranżera. Ojciec ofiarodawcy należał do przyjaciół ś. p. Korotyńskiego.

— Obok trzech taniach kuchni, założonych świeżo przez Warszaw. Tow. Dobroczynności, będzie jeszcze wzniesiona wkrótce czwarta, przy zbiegu ulic: Żelaznej, Srebrnej i Chmielnej, to jest w miejscowości, koło której przechodzi co rano największa liczba robotników, zajętych przy kolei żelaznej Warsz.-Wiedeńskiej. Tow. Dobroczynności nie posiadając dostatecznych środków na urządzenie zakładu, którego koszta wynoszą 3,000 rs., zwracało się o pomoc do rady zarządzającej kolei War.-Wiedeńskiej, oraz do właścicieli fabryk w tych okolicach. Zarząd kolei przyczynił się do dobrego uczynku kwotą 500 rs., właściciele fabryk: pp. Borman i Szwede, Ortwein i Karasiński, Hantke, Scholtze i Rephan, zobowiązali się przyjść z pomocą, zatem czwarta tania kuchnia zostanie wkrótce otwartą.

— To warzystwo popierania przemysłu i handlu użyło swej pomocy organizatorom sklepów wiejskich. Na pierwszej naradzie p. Gabryel Godlewski zaznaczył, że sklepy wiejskie w Kieleckiem, rozpoczynając zrazu bardzo skromnie, obecnie mają 600,000 rs. obrotu. Delegację, związaną z celem rozpowszechnienia wspomnianych sklepów, składają pp. W. Magnus, G. Godlewski, A. Makowiecki, St. Ostrowski, Klewczyński. Stowarzyszenie spożywcze „Merkury“, podjęło się dostarczania sklepom wiejskim drogą zaliczeń towarów spożywczych i produktów gospodarstwa domowego.

— Przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu zostanie wkrótce utworzony specjalny oddział informacyjny, udzielający osobom interesowanym szczegółów dotyczących zakładania rolniczych sklepów wiejskich.

— Redakcja *Ogrodnika Polskiego* wydała Kalendarz najważniejszych robót w ogrodzie owocowym, warzywnym i kwiatowym. Kalendarz jest ułożony dla klimatu Warszawy, w surowszym należy wszelkie prace ogrodnicze opóźniać a w cieplejszym przyspieszać.

— Od bezpłatnej czytelnicy w Radomiu zażądano kopii ustawy z Łomży i Suwałk, gdzie zakładają się podobne czytelnice. Dobry przykład wiele znaczy i tak to z ziarnka do ziarnka, tworzy się miarka rzeczy dobrych.

— Zygmunt Gloger napisał rzecz bardzo piękną i pożyteczną „Popas w Sławopolu“. Jest to obraz wioski takiej, jaką być powinna. Znajomość stosunków sprawia, że typy wieśniaków skreślone są wybornie, prawdziwie a pięknie. Jest tu cała ich galerya wzorowych gospodarzy, przemysłowców-rolników, rzemieślników, ogrodników, rolników wykształconych, Język, jak zawsze u Glogera, doskonałe ludowy, jedyny, posiadający tę poprawność, jaką należy zachowywać w druku. Dotkniętą tu została nieśczęśliwa sprawa wychodźstwa, autor opisuje scenę na statku wiozącym biedną tę ludność do Brazylii. Jest tu z opowiadania chłopów wzięta scena, jak majtkowie nierozumiejący języka nieśczęśliwej matki, której dziecko umarło, wydzierając jej z rąk trupka, aby go wrzucić w morze. Książeczkę zdobiją ilustracje. Nawiasem dodać trzeba, że agenci emigracyjni operują teraz w Warszawie i w jej okolicach, na Woli.

— Wychodźstwo szerzy się również w Galicyi. Według wykazów urzędowych obliczono, że przybyło do Oświęcimia z celem emigracyi 5.294 osób. Wśród tych było z Galicyi 4.288 osób, z Węgier, głównie Słowaków, 973, z Bukowiny 69. Zwrócono z drogi w skutek niedostatku funduszu 1.141 osób. Od pewnego czasu pojawili się agenci i we Wschodniej Galicyi.

— Lwowskie koło literacko-artystyczne zamierza założyć kasę emerytalną dla artystów i literatów. Za wzór służyła-by kassa emerytalna dla artystów i literatów czeskich, istniejąca w Pradze.

— Wspomnienie o życiu i pismach Mickiewicza napisał i wydał J. Chociszewski.

— W Toruniu zawiązała się na wzór poznańskiej spółka ziemiska.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

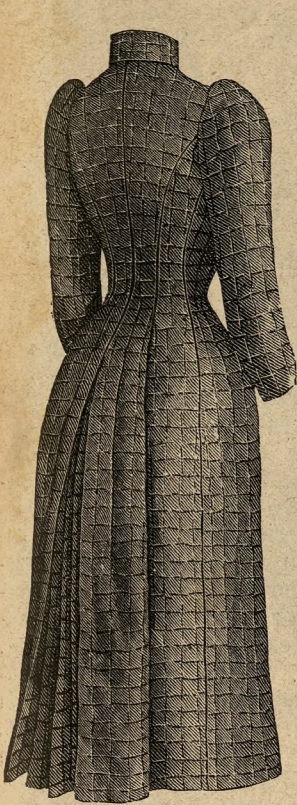
TREŚĆ: Fryderyk Szopen jako człowiek i artysta (dalszy ciąg). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Kobieta w Ameryce — Ze znalezionych kartek (dokończenie). — Z Wiednia. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 16-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego.—Przegląd mód. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

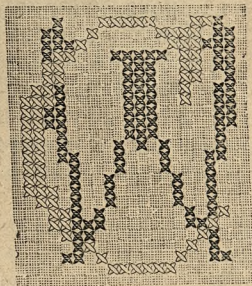
Дозволено Цензурою. — Варшава, 13 Февраля 1891 года.



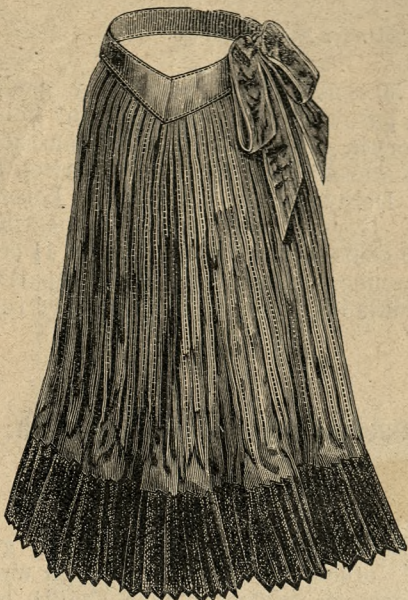
Nr 5. Tylna część płaszczka Nr 2 bez peleryny.



Nr 4. Peleryna da płaszczka ryc. Nr 2.



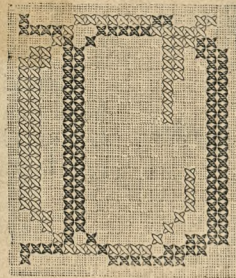
Nr 6. Monogram.



Nr 3. Fartuszek z atlasu „merveilleux.”



Nr 7. Tylna część żakietu Nr 12.



Nr 9. Monogram.

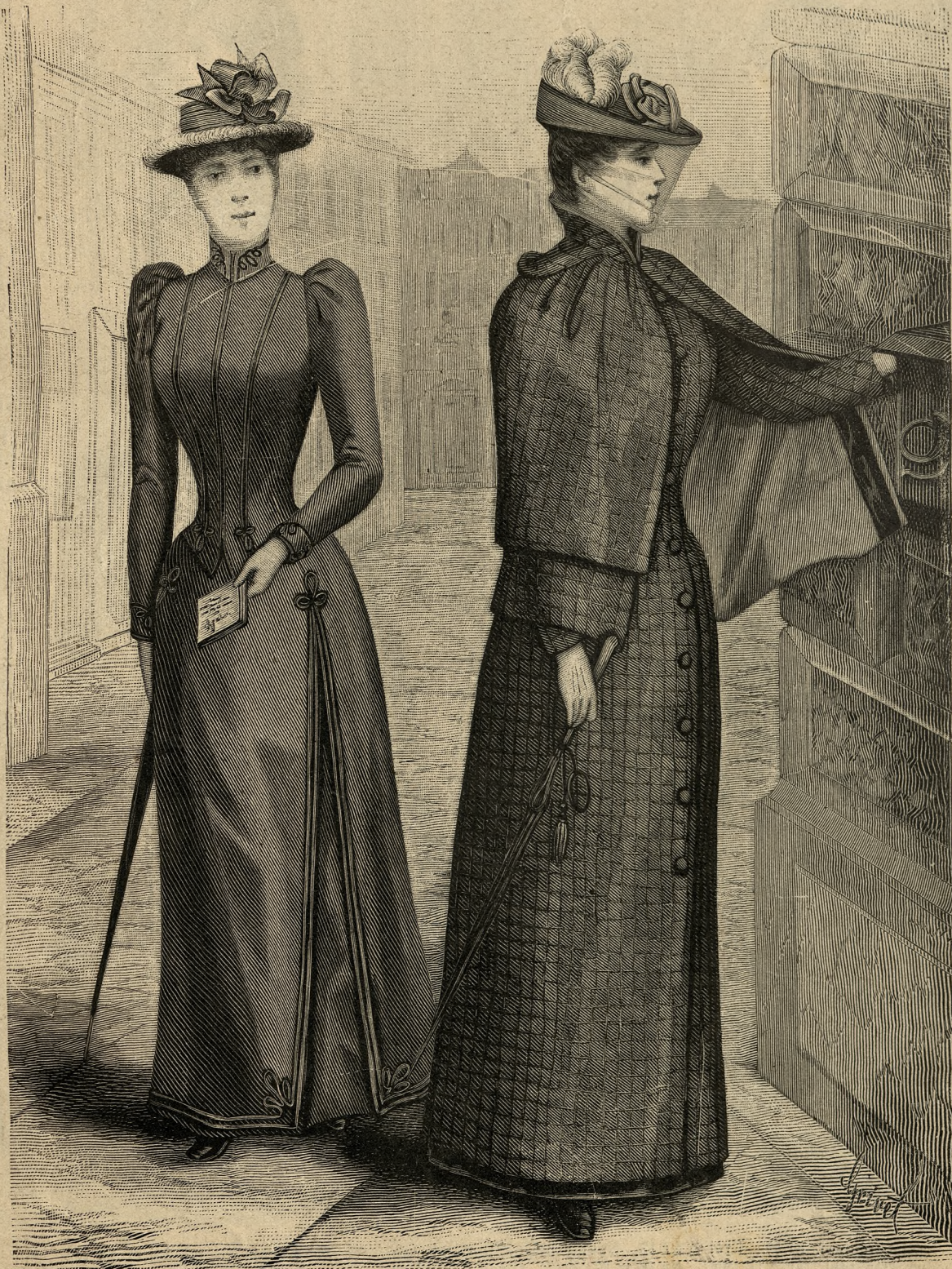


Nr 8. Fartuszek dla panienki od 9—11 lat. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 59).

Koronka (robota szydełkowa).

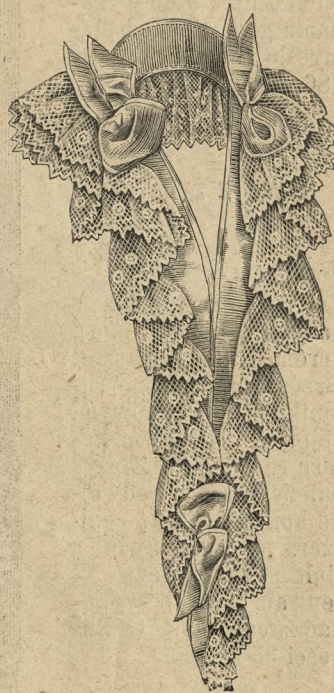
Rycina Nr 15.

Koronka wykonana w poprzek krętą bawełną koloru crème, jak następuje: 1 kolej: 7 powietrznych ocz., 4 słupki przedzielone 3 pow. ocz. w 1 z 7 pow. o. — 2 kolej: 5 pow. ocz., 4 słup. przedzielone 3 pow. ocz. w środkowe 3 pow. o. poprzedn. kolei. — 3 kolej: jak poprzednia. — 4 kolej: * 6 pow. ocz., następne 5 pow. ocz. przer. 1 ścis. łań. ocz., 7 ścis. ocz. w poprzednie 6 pow. ocz., od * powtórzyć jeszcze 4 razy, ale po każdym następnym 3 powtórzeniu 1 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. więcej jak w poprzednim przeciku, przy 4 zaś powtórzeniu 12 pow. ocz. i 18 ścis. ocz. wykonać, potem 4 razy naprzemian: 3 pow. ocz., 1 ścisłe ocz. w 1 pow. ocz. następ. przecika, potem 3 pow. ocz., 4 słup. przedziel. 3 pow. ocz. w ocz. pomiędzy dwoma środkowymi z 3 powietrznych ocz. 4 słup. — 5 kolej: 5 pow. ocz., 4 słup. przedziel. 3 pow. ocz. w środkowe z 3 ocz. następ. 4 słup., 3 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu 3-cie pow. ocz., 4 razy naprzemian: 3 pow. ocz., 1 słup.



Nr 1. Suknia z szewjotu (do ryc. Nr 11). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—30.

Nr 2. Płaszczki wiosenny (do ryc. Nr 4 i 5). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 12—20.



Nr 10. Chusteczka z wstążki i koronki.



Nr 11. Tylna część sukni Nr 1. (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—30.)

w następ. 3 pow. ocz., potem 8 razy naprzemian: 3 pow. ocz., 1 słup. w każde następ. ścis. ocz. — 6 kolej: * 1 pikot czyli 5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w 1 z tychże, 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następ. 3 pow. ocz., od * jeszcze 12 razy powtórz., potem 3 pow. ocz., 4 słup. przedziel. 3 pow. ocz. w środkowe z 3 pow. ocz. 4 słup., powtarzać ciągle 1 do 6 kolei, ale 1 kolej na sposób 2-iej i 3-iej a oprócz tego w 4 kolei po 4 ocz. z 18 ścis. ocz. ostatni pikot, jako też w 6 kolei 1 pikot łączyć z przedostatnią figurą. Rząd górny otaczający brzeg koronki ciągle i ścis. ocz. w następne 5 pow. ocz., 6 pow. oczek.

Szlak na obrus kościelny (gipiura siatkowa).

Rycina Nr 23 oraz 20 i 22 w Bluszczu Nr 8.

Szlak do obrusa kościelnego, na który wykonać najprzód zwyczajną siatkę kwadratową i podług ryc. zapęłniać takową deseniem.

Ryc. Nr 20 w Bl. Nr 8 przedstawia część narożną oryginalnej wielkości.

Zasłona na sofę (robota drutowa i szydełkowa).

Rycina Nr 24.

Zasłona na sofę, wykonana cienkimi nićmi na drutach, złożona z mniejszych i większych gwiazdek, wykonywanych oddzielnie i łączonych z sobą szydełkiem ścisłymi oczkami. Ryc. Nr 24 przedstawia wzór zmniejszony do połowy oryginalnej wielkości. Co do wykonania gwiazdek odsełamy do Bl. Nr 41 str. 186 ryc. 29 rok 1890.

Kryza z żabotem.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 10.

Kryza wykonana z gazy jedwabnej koloru „crème“ 8 cent. szer. Brzegi zakończone rulonikiem obrąbkowym, objętym jedwabiem koloru czarnego. Złożyć należy gazę w podwójne kontrafałdy 2½ cent. szer. na podstawie z tiulu pokrytej gazą. W ten sam sposób wykonać żabot mający długości 35 centim.

Napiersnik z gazy jedwabnej w pasy.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 10.

Napiersnik z gazy jedwabnej koloru różowego, może być noszony zarówno na gładkim staniku jak i pod kaftanikiem otwartym. Skrajać 2 części gazy, każda 30 cent. szer. a 42 centim. dług. Połączyć takowe wzdłuż, przy czem jednocześnie umocować podwójną falbankę 13 cent. szer. a 85 cent. długą. Górną część wszyć w pasek i otoczyć falbanką z gazy 7 cent. szer., dolną zaś w zaokrąglony pa-

sek z gazy ułożonej w fałdy na podkładzie i podszewce. Pasmanterya złota wykończy napiersnik podług ryc.

Fartuszek z „surah“ i koronki.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 10.

Fartuszek 59 centim. szer., wykonany podług ryc. z trzech pasów 12 cent. szer. „surah“ koloru białego, z których pas ostatni lekko namarszczony i z dwóch szerokich na 13 cent. wstawek koronkowych. Dolny brzeg zakończony koronką 13 cent. szer. Górny brzeg zmarszczyć po kilkakrotnie na 13 cent. szer. i wszyć w pasek 4½ cent. szer., ułożony nieco w ząb z przodu, zaopatrzyć takowy w podkład i podszewkę i wykończyć rozetą z „surah“.

Buciki dziecinne wykonane na drutach.

Rycina Nr 22 w Bl. Nr 10.

Buciki wykonane z włóczki białej „zefir“ grubymi drutami, otoczone w górnym brzegu wyłożeniem haftowanym niebieską pelą, takiż haft powtarza się w przedniej części bucików na pod-

biciu. Sznury i kwasty wykończają całość podług ryc. Rozpocząć bucik na założeniu 60 ocz. tam i napowrót. Pierwsza do 4-iej kolei zwyczajnie. — 5 kolej do 8-iej prawa strona roboty ma przedstawiać się jak lewa. — 9 kolej do 16 jak pierwsze 8 kolei. Wykonać jeszcze 5 rzędów w tymże samym deseni. ale w 18 kolei, powracając na 10 środkowych o. (pozostawić inne nietknięte) wykonać 17 kolei dodatkowych w tymże deseni, przy czem dla nadania formy kończąc każdą kolej ostatnie ocz. przerobić z następnym nietkniętym w sposób, ażeby takowe z prawej strony roboty przedstawiało się jak przerobione zwyczajnie. Po wykończeniu kolei dodatkowych, wykonywać znów robotę na wszystkich ocz., ale jeszcze 7 razy w każdej 2-iej z rzędu kolei w prostym kierunku, powyżej poprzedniego zgubienia ocz. wykonać 1-o zgubienie. Oprócz tego w 34 kolei a potem jeszcze 3 razy w każdej 2-iej z rzędu kolei, po pierwszym ocz. i przed ostatnim 1 ocz. przybierać. Po zakończeniu 56 kolei odczepić ocz., złożyć na połowę oczek założenia, połączyć z lewej strony ścięciem obrzucanym i wykonać podszewkę zwyczajnym ścięciem lekko przerabianym. Koronkę stanowiącą wyłożenie w górnym brzegu wykonać na założeniu 58 ocz.—1 kolej: zebrać na drut. 1 ocz. zwycz., drut owinąć, *, 2 ocz. zwycz., 2 ocz. zebrać czyli zdjąć następ. ocz., 2 następne zwyczajnie przerob. razem i przez to przerob. ocz. zdjęte, 2 ocz. zwycz., dr. owin., 1 ocz. zwy., dr. owin., od * powtórzyć jeszcze 6 razy, ale w końcu nitkę owiniętą pozostawić nie przerobioną.—2 kolej: odwrotnie. Powtarzać jeszcze trzy razy naprzemian poprzednie 2 koleje, potem 1 kolej zwyczajnie, w której zgubić 18 ocz., potem 4 koleje, w których prawa strona wydaje się odwrotną i 3 koleje, w których wydaje się zwyczajną, poczem ocz. odczepić. Poprzeczne brzegi koronki zeszyć ścięciem obrzucanym i połączyć ocz. odczepione z górnym brzegiem bucika.

Serwetka deserowa (podług wzoru deseni porcelany berlińskiej). Ścieg płaski i gałązkowy.

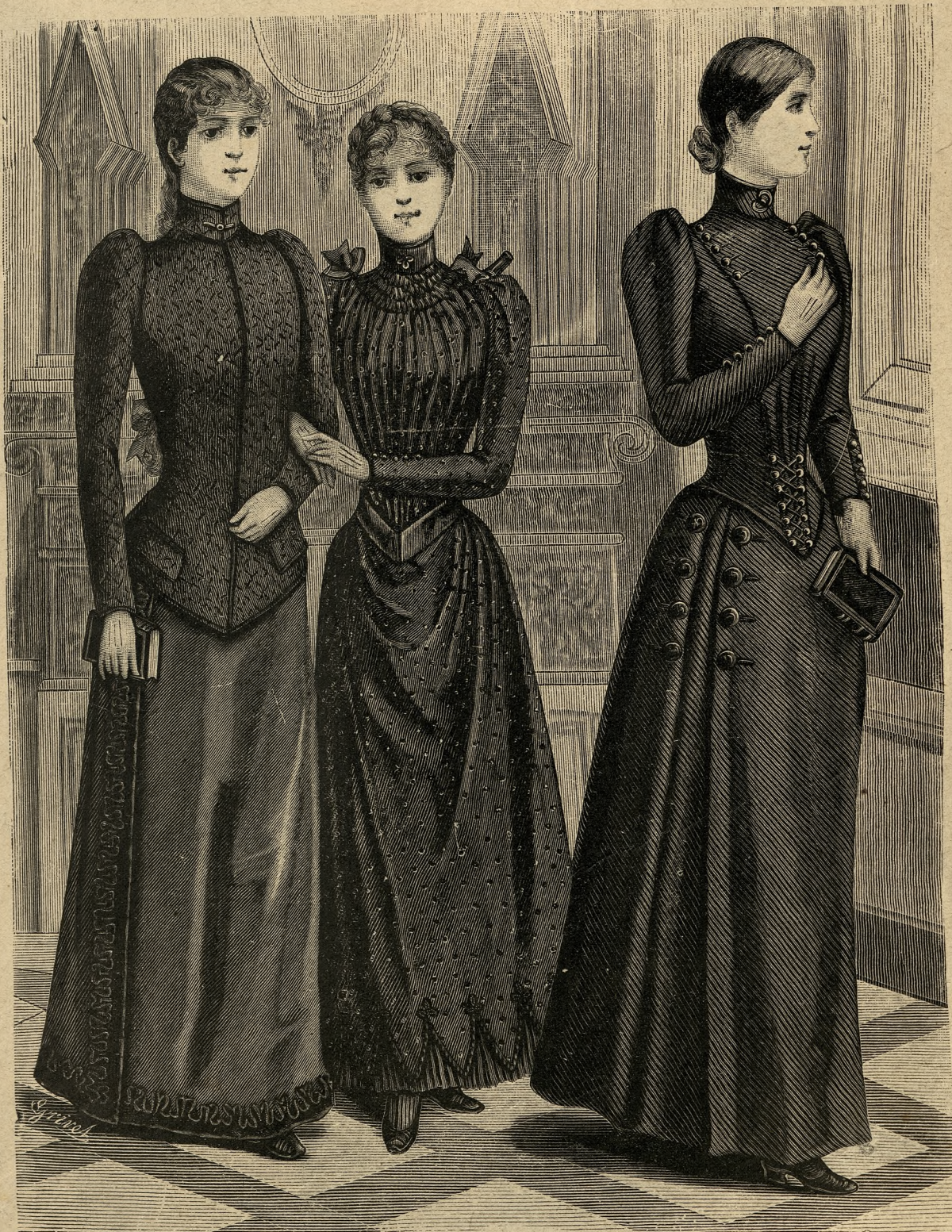
Rycina Nr 23 w Bl. Nr 10.

Serwetka 104 cent. dług. a 83 centim. szer. z lnu białej tkaniny. Dolny brzeg zakończony obrębem z merszką 2½ cent. szerok. i otoczony koronką kłoczkową, wykonaną krecią bawełną koloru białego i niebieskiego. Szlaczek wzięty ze wzorów porcelany berlińskiej, oraz środkowy bukiet gałązki i motyle wykonać ścięciem płaskim i gałązkowym rozpolowioną filozelą koloru niebieskiego „porcelaine“.

Przepisy gospodarskie.

Sago na winie.

Sago na winie jako posiłek bardzo poży-



Nr 12. Żakiet (do ryc. Nr 7). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 43—48).

Nr 13. Suknia dla pani (do ryc. Nr 16 w Bl. Nr 8). Krój i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 32—42.

Nr 14. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 16). Opis pierwsza strona tablicy.

Korespondencya

Odp. Pren. z Woł...

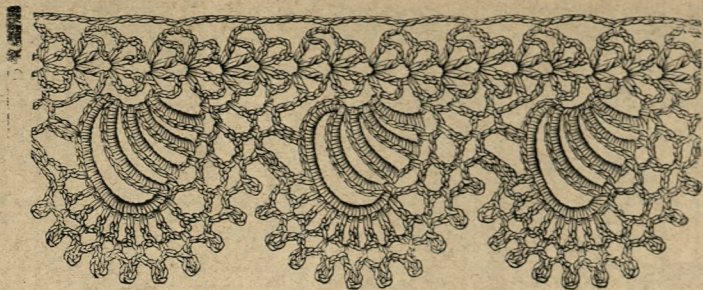
Sposób użycia znajdzie pani w broszurze mego wydania: „Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“ czyli „Porządki domowe.“ W każdym razie konewka zwyczajna ma objętości cztery garnce.

Odp. Maryi Mar...

Bachachłaku jest fabrykat, którego wytworzeniem trudnią się specjaliści fabrykanci a nie kobiety gospodynie, w Warszawie wyrabia je wielka fabryka makaronów Krzymuskiego.

Odp. Pren. z Wil...

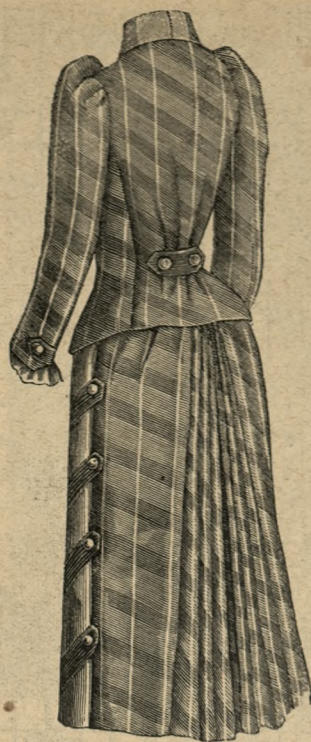
Woda gorąca do polewania palm mieć powinna od 20 do 25 stopni. Inne szczegóły objaśni panią „Ogrodnik polski“ Jankowskiego.

Nr 16. Tylna część sukni
Nr 13.

Nr 15. Koronka (robota szydełkowa).



Nr 18 i 19. Bluzka do sukni Nr 20.

Nr 17. Tylna część sukni
i kaftanika Nr 20.

stół. Chcąc podać na leguminę, bierze się podwójna ilość sago na tę samą ilość wody i wina. Wino może być krymskie „Sauterne.“

L. C.

Mydło w płynie do wywabiania tłustych plam.

Dobre mydło zwyczajne, skrobać i wrzucać do butelki, zalać salamoniakiem, zmieszać potrząsając butelką i takową zakorkować. Po rozpuszczeniu mydła, rozrzedzić jeszcze salamoniakiem do gęstości syropu. Płynem tym smarować tłuste plamy i obmywać zaraz letnią wodą kilkakrotnie. Używać jednak tylko na czarne lub ciemne wełniane ubrania.

Cudze doświadczenie.

Zaręczała mi osoba wiarogodna i dobra gospodyni, jakoby używała do zakolorowania firanek na żółtawy kolor zamiast szafranu powszechnie używanego, farby żółtej, używanej przez malarzy do malowania ścian kuchennych, schodów i t. p.

Jest to naturalnie o wiele oszczędniejsze.

Obiad postny.

1. Zupa grzybowa z perłową kaszą.
2. Szczupak duszony z jarzynami.
3. Groszek z grzankami.
albo { Budyń z sandacza.
Lin smażony z surową kapustą.
4. Krem z konfitur.

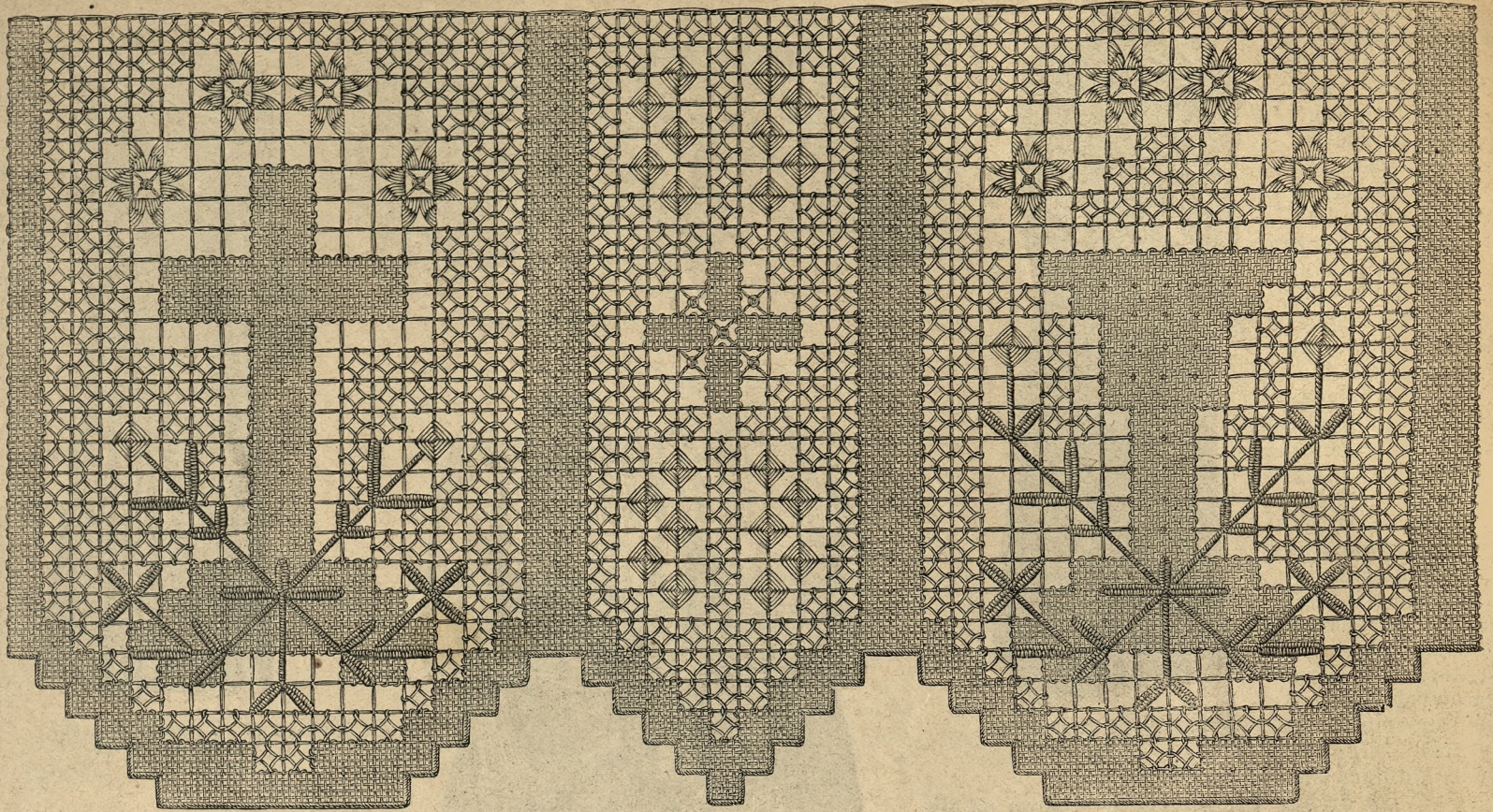
Nr 20. Suknia podróżna z kaftanikiem
(do ryciny Nr 17—19).

Nr 21. Suknia z wigoni obłożona piórami.

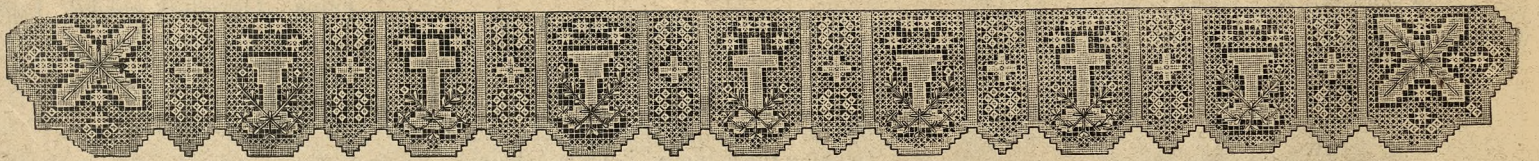
wny dla osób osłabionych, szczególnie na post bardzo jest używane. Nasze krajowe sago trzeba sparzyć ukropem a następnie rzucić na gorącą wodę, rachując ćwierć funta na 3 osoby, wody powinno być dobre pół kwarty, gdy zaczyna być klarowne wysypać cukru, kawałek cynamonu wrzucić, troszkę skórki cytrynowej i wlać pół butelki białego francuskiego wina, raz z winem zagotować i podać. Najlepsze jednak sago jest francuskie sprzedawane w małych pudełeczkach ćwierć funtowych; otóż takie sago nie parzy się wcale tylko sypie na gotującą się wodę tak jak drobna kaszka łyżkę stołową na filiżankę czyli pełną kwaterkę wody, gotuje 15 minut a wtedy sypie cukier, kawałek cynamonu i skórki cytrynowej, zalana pół butelką dobrego francuskiego wina, a zagotowawszy jak wyżej podaje się na

Uwaga.

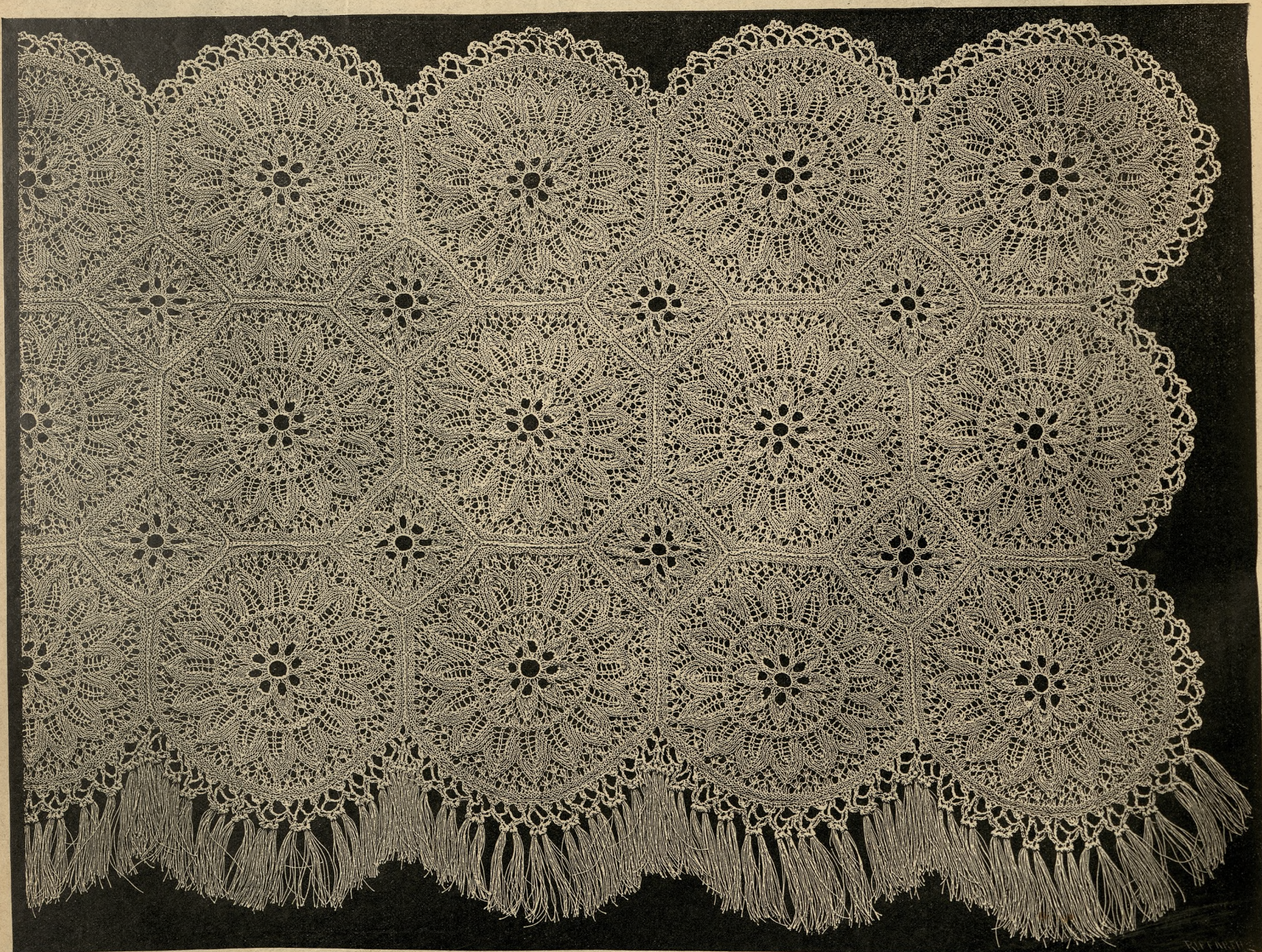
Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do numeru zeszłego Bluszczu.



Nr 22. Część koronki do ryc. Nr 23. (Szerokość oryginalna).



Nr 23. Szlak do obrusa kościelnego (gipiura siatkowa) do ryc. Nr 20 w Bl. Nr 8 i do ryc. Nr 22.



Nr 24. Część serwety na kanapkę (zmniejszona) robota drutowa i szydełkowa.